

Zagłada Żydów. Studia i Materiały
Holocaust Studies and Materials

2017

ISSN: 1895-247X
eISSN: 2657-3571
DOI: 10.32927
WWW: www.zagladazydow.pl

Centrum Badań nad Zagładą Żydów IFiS PAN
Polish Center for Holocaust Research

The Memoir of Doctor Chaim Einhorn, a Physician from a Warsaw Ghetto Hospital

Barbara Engelking
Instytut Filozofii i Socjologii Polskiej Akademii Nauk

bengelki@ifispan.edu.pl
ORCID: https://orcid.org/0000-0001-8361-4427

DOI: https://doi.org/10.32927/zzsim.730
Strony/Pages: 421-471

CC BY

OPEN ACCESS

Pamiętnik dr. Chaima Einhorna

Pamiętnik Chaima Einhorna znajduje się w Archiwum Yad Vashem pod sygnaturą 0.3/1836. Jak wynika z załączonego do niego wstępu, autor zaczął spisywać swoje przeżycia w ukryciu po stronie aryjskiej w kwietniu 1943 r., tuż przed wybuchem powstania w getcie warszawskim. Ukrywał się wraz z kilkoma innymi Żydami na Grochowie, u nauczycielki Romany Hankowej. Wspominał szczegółowo okres akcji wysiedleńczej w getcie, selekcję wśród lekarzy we wrześniu 1942 r., a następnie w styczniu 1943 r. Opisał też warunki, w jakich się ukrywał, wyzwolenie, a właściwie wkroczenie wojsk radzieckich – wówczas przez kilka dni Żydzi nie mogli jeszcze opuścić mieszkania, gdyż groziła im utrata życia.

Dziennik dr. Einhorna nie był prowadzony systematycznie. To raczej wspomnienia z getta, przede wszystkim dotyczące ostatniej wielkiej selekcji, tzw. akcji kotła, a także szereg notatek, które urywają się już po wyzwoleniu.

Jak podała w notatce dołączonej do tych zapisków archiwistka Yad Vashem: „Pamiętnik dr. Ch. Einhorna odkryty został przypadkowo. Dr E. zgłosił się do Jad Wa-Szem, aby przy pomocy tej instytucji złożyć [w maju 1961 r.] zeznanie w sprawie zbrodniarza wojennego, SS-owca nazwiskiem Hantke, który odznaczał się szczególnym okrucieństwem w getcie warszawskim. W trakcie odbierania zeznania w sprawie Hantkego, jako też obszerniejszej rozmowy na tematy związane z okresem zagłady żydostwa warszawskiego, wyszło na jaw, że dr E. posiada pamiętniki, pisane przez niego w czasie, gdy ukrywał się po ucieczce z getta na stronie aryjskiej Warszawy.

Pamiętnik, według słów dr E., pisany był niejako «na gorąco», posiada więc dużą wartość dokumentarną, ponieważ cechuje go ogromna bezpośredniość, którą trudno jest niektórym ludziom osiągnąć w retrospekcji wydarzeń. […] Otrzymałam od dr. E. dwa zeszyty, gęsto zapisane ołówkiem i atramentem. Pismo, jakkolwiek b[ardzo] drobne, było jeszcze czytelne (miejscami tylko ślady ołówka były nieco zatarte, ale w tej mierze pomocne były w odtworzeniu tekstu rozmowy, jakie przeprowadziłam z autorem), szwankowała jedynie chronologia, ponieważ notatki, pisane od razu pod wrażeniem przeżytych zdarzeń, porozrzucane były po różnych kartkach zeszytów, urywały się w jednym miejscu, by znaleźć swe uzupełnienie w miejscu zupełnie niespodziewanym, w środku lub na końcu zeszytu. Również i w tym wypadku okazały się pomocne w orientacji tekstu rozmowy przeprowadzonej z dr. E. […] Pamiętnik obejmuje okres od kwietnia ’43 do grudnia ’44 r.”.

Przygotowując pamiętnik do publikacji, szukałam informacji o powojennych losach dr. Einhorna i jego rodziny. Udało mi się znaleźć w Izraelu jego bratanicę Rachel Levitan, która dostarczyła mi wielu cennych informacji, za które serdecznie dziękuję. Okazało się, że rodzina nie wiedziała o istnieniu zapisków. Dziękuję także Agnieszce Hasce za pomoc w odnalezieniu informacji o warszawskich lekarzach.

Barbara Engelking

Pamiętnik dr. Chaima Einhorna[1], lekarza w szpitalu w getcie warszawskim

Wielokrotnie nasuwały mi się myśli, czyby nie rozpocząć opisywania naszych ostatnich męczeńskich dni. Szczególnie ostatnio, kiedy całymi dniami siedzę, starając się jak najmniejszy hałas wytwarzać, by nas sąsiadka p. Kołodziejska nie słyszała.

Stale jednak wstrzymywała mnie od pisania obawa przed przypomnieniem sobie tych nieludzkich przeżyć, nie chciałoby się nawet w myśli przeżyć tego drugi raz. Jest to zbyt okropne. Często w szpitalu, oglądając różne rany wojenne (twarzy, brzucha itp.), mówiliśmy sobie, że wytrwałość fizyczna człowieka jest nie do pomyślenia, nigdy przed tym nie wyobrażaliśmy sobie. Otóż stwierdzam, że nikt nigdy by nie uwierzył, że normalnie można tyle przecierpieć i jeszcze żyć (pomijam już fizyczne cierpienia).

Ostatecznie pchnął mnie do pisania ostatni trik propagandowy niemiecki z zamordowaniem przez bolszewików 12 000 oficerów polskich. Trzeba tylko czytać, z jakim niesłychanym oburzeniem na „rzeźnię w Katyniu" piszą ci nieludzcy Inkwizytorzy, pierwsi i najwięksi w historii mordercy i kaci niewinnych ludzi[2].

Chciałoby się przed całym światem krzyknąć: jak można tak kłamać, udając niewinnych, wtedy, kiedy się popełnia takie trudne do opisania zbrodnie, wymyślne przez cierpienia, jakie się zadaje swoim ofiarom przed śmiercią.

---

[1] Chaim Einhorn urodził się 6 XI 1910 r. w Warszawie. Studia medyczne ukończył w 1935 r. w Nancy we Francji, nostryfikował w Warszawie w 1937 r. Do wybuchu wojny pracował jako asystent na klinice uniwersyteckiej przy Szpitalu św. Ducha w Warszawie, później w szpitalu na Czystem. Brał udział w badaniach nad chorobą głodową. Do września 1939 r. mieszkał przy ul. Niskiej 59, po zbombardowaniu domu przeprowadził się na ul. Miłą 32, gdzie mieszkał do opuszczenia getta w kwietniu 1943 r. Po wyzwoleniu został zmobilizowany i z Wojskiem Polskim brał udział w zdobyciu Berlina. W latach 1945–1946 był kierownikiem szpitala wojskowego w Szczecinie i lekarzem chorób płucnych w TOZ w Szczecińskiem. W 1946 r. wyjechał z Polski przez Czechosłowację i w Austrii, w obozie DP w Halein koło Salzburga został dyrektorem szpitala chorób płucnych. W 1948 r. wyjechał do Izraela, zamieszkał w Tel Awiwie i pracował jako lekarz chorób płucnych. Zmarł 19 I 1978 r.

W publikowanym pamiętniku zachowałam pisownię oryginału, uwspółcześniłam jedynie interpunkcję.

[2] Pierwsze informacje o odkryciu masowych grobów oficerów polskich w Katyniu ukazały się w szmatławcu, „Nowym Kurierze Warszawskim", 14 IV 1943 r. Pisząc na ten temat, propaganda niemiecka eksponowała wątek antyżydowski i antybolszewicki. Początkowo wiele osób uważało, podobnie jak autor dziennika, że zbrodni dokonali Niemcy.

Trzeba przyznać, że kultura i cywilizacja przydała się Niemcom, bo nikt (a wiele na ten temat dyskutowaliśmy między sobą) z nas nie mógłby nigdy osiągnąć takiego stopnia barbarzyństwa i wymyślności w szczegółach z góry ułożonego planu wysyłania na śmierć przez długą drogę męczarni milionów niewinnych ludzi, dzieci, kobiet, mężczyzn, bez różnicy na wiek i płeć.

Jak mało ci zbrodniarze liczą się z opinią Polaków (zresztą traktują ich też jako przyszły element dla Treblinek[3]), jest to, że jednocześnie z krzykiem oburzenia na „Katyń" mordują w getcie.

Oto od 2 dni SS z żandarmami i oczywiście przy pomocy P[olskiej] Policji stara się wymordować ostatnich tam przebywających Żydów. Wobec tego, że już wszyscy tam uświadomili sobie, ze nie można tym bestiom wierzyć i że już na żadne przenoszenia szop wraz z ludźmi nie pójdą, to postanowili przynajmniej przy tych kilku rewolwerach, co posiadają, żywcem się nie dać wziąć.

Zaznaczam, że kiedyś należy będzie również i tem zainteresować się, że mimo próśb nawet w tym nie pomogli nam, a mianowicie w sprawie broni[4]. To właśnie doprowadziło, że zupełnie bezbronni, a tym samym załamani duchowo, szła większość na śmierć jak barany, aby tylko jak najszybciej skończyć z cierpieniami.

Otóż gdy przy poprzedniej akcji[5] kilku uzbrojonych chłopców strzelało, gdy masy żołdaków SS i żandarmów napadało na domy nasze, przeszukując każdy kąt, zabijając kilku Niemców, to tym razem już zupełnie bezpiecznie polują na ludzi. Oto, jak mi donoszą z miasta, w tankach wjechali do getta i już zupełnie na ich sposób wysadzają domy w powietrze, podpalają je, grzebiąc żywcem ludzi, i tam gdzie domy są za duże, by móc je wysadzić w powietrze, podpalają je, paląc [ludzi] żywcem.

Osiągają tymi doskonałymi metodami podwójny cel, sami bezpieczni, bo przecież przy wymordowaniu 7 milionów Żydów w Europie ani jeden Niemiec nie powinien zginąć, no i drugi cel przez wysadzenie w powietrze i spalenie domu likwidują również i tych Żydów, którzy zrobili sobie schowki, zakopując się w ziemię bez świeżego powietrza, światła i jedzenia, byle by uratować życie.

Toteż każdy odgłos wybuchu przy wysadzaniu domu ścina mi w żyłach krew. Tym bardziej że zostali tam Sawek[6] i rodzice Heli[7]. Pani H[8]. przynosi nam z miasta

[3] Zapis „Treblinki" pojawia się powszechnie w źródłach z lat okupacji i tużpowojennych.

[4] Polskie podziemie, mimo próśb konspiracji żydowskiej, było w stanie dostarczyć jej jedynie kilkadziesiąt sztuk broni.

[5] Chodzi o samoobronę z 18 I 1943 r., kiedy Niemcy wkroczyli do getta, by kilka tysięcy Żydów wywieźć do Treblinki. Doszło wówczas do pierwszej akcji zbrojnego oporu. Po trzech dniach Niemcy wycofali się z getta, wywieziono 4–5 tys. Żydów.

[6] Inż. Sawek Kaszub, szwagier autora, zginął w getcie. Siostra autora Franciszka, żona Sawka, pisze w relacji (AYV, O.33/166), że po akcji z lata 1942 r. pracował on w odkażalni niemieckich mundurów, zginął najprawdopodobniej w czasie powstania.

[7] Helena Engel (1918–1968), żona autora, jej rodzice zginęli w getcie. Einhornowie pobrali się w getcie 22 VII 1942 r.

[8] Romana Hanke (Hankowa), Polka, u której ukrywali się Einhornowie.

romantycznie upiększone wiadomości z walk. Oto jakiś 12-letni chłopiec rzucił się z granatem pod czołg i zniszczył go. Na Lesznie leżą trzy zniszczone czołgi.

Leszno zostało wyłączone z ruchu. Na Miodowej tramwaje nie chodzą. Z getta unoszą się łuny pożarów i kłęby dymów. Widać transparenty, na których pisze: Polacy, pomóżcie, za trzy dni Sowiety pomogą.

Notuję te plotki, wiedząc doskonale, jak to zupełnie inaczej w rzeczywistości wygląda. Jakie to niesłychanie straszne, to polowanie na ludzi z krwiożerczością, niespotykaną nigdy przy polowaniu na zwierzęta. I robią to nie tylko SS, ale nawet zwykli żandarmi.

Zdaje się, że każdy Niemiec jest zdolny do tego, bo widziałem, jak postępują ci cywilni z Transferst[elle][9] na wachach (to są już starsi ludzie), a zresztą ci panowie dyrektorzy z tych wszystkich szop. Jednym słowem wszyscy Niemcy są odpowiedzialni za te bestialstwa.

* * *

O godz. 4.30 w nocy, jeszcze przed godziną dozwoloną, ktoś gwałtownie zapukał przy drzwiach wejściowych. Spaliśmy ciężkim snem po strasznym dniu łapanek, często przerywanych przebudzaniem się i przypomnieniem sobie strasznej naszej sytuacji, co wywoływało taki wyjątkowy ból na duszy, że człowiekowi chciało się znów paść w zapomnienie. Wyskoczyłem z łóżka i otworzyłem drzwi.

Oto wpada Anka[10] z nieuczesaną głową, nieubrana, otulona jedynym płaszczem. Widok jej od razu dał nam do zrozumienia, że nowe jakieś nieszczęście. Zdawało nam się, że dotyczy to jej Stasia.

Pierwsze pytanie było: co ze Stasiem? Anka, nie odpowiadając na to pytanie, kazała nam się szybko ubrać, bo jest zarządzenie, że wszyscy Żydzi muszą się przenieść do czworoboku Gęsia–Niska[11]. Policja żydowska już przeprowadza i dlatego można przez całą noc chodzić. Ostateczny termin do g[odz]. 10 rano. Wiadomość tą otrzymali oni na Kupieckiej od jednego ze Sł[użby] Pom[ocniczej][12].

---

[9] Transferstelle – urząd transferu (ul. Królewska 23), za którego pośrednictwem odbywał się cały obrót towarowy (import i eksport) między gettem a stroną aryjską. Do maja 1941 r. wchodził w skład Umsiedlungsabteilung (Wydziału Przesiedleń) i kierował nim Aleksander Palfinger, od połowy maja tego roku stał się organem Urzędu Komisarza Żydowskiej Dzielnicy Mieszkaniowej i kierował nim Max Bischof.

[10] Anna Birnstein, siostra autora, oraz jej syn Staś, przeżyli wojnę, potem mieszkali w Stanach Zjednoczonych.

[11] Między 6 a 12 IX 1942 r. odbyła się wielka selekcja wszystkich pozostałych przy życiu mieszkańców getta warszawskiego, zgromadzonych w czworoboku ulic: Smocza, Gęsia, Zamenhofa, Szczęśliwa, plac Parysowski. Wydawano wtedy „numerki na życie" („numerki życia"), które podczas selekcji uprawniały posiadacza do pozostania w getcie. Ci, którzy je dostali, mogli pozostać w getcie i pracować, reszta (ok. 50 tys.) została wywieziona do Treblinki. Był to ostatni akord wielkiej akcji likwidacyjnej, nazywany „kotłem na Miłej", „kotłem na Niskiej" lub po prostu „akcją kotła".

[12] Służby Pomocniczej, Służby Porządkowej, czyli policji żydowskiej.

My z Helą siedzieliśmy, jakby ktoś nas obuchem w głowę uderzył. Odczuwałem [w] owej chwili, jakby we mnie wszystko się zrywało. Potrafiłem jedynie odpowiedzieć, że to już zbliża się bezwzględny koniec wszystkich. A może to nieprawda, próbowaliśmy ostatnim podrygiem instynktu samozachowawczego się bronić przed tą wiadomością. Oby to było nieprawdą, odrzekła Anka, a zresztą przyjdź na ulicę, to się dowiesz. Ja tymczasem muszę spakować najniezbędniejsze rzeczy i lecę do Mamy.

Prosiłem ją, by sprowadziła Mamę, i już myślałem, gdzie ją ulokować, by móc ją uchronić od tej przeprowadzki.

Anka wyszła, żegnając się z nami. Rozpłakaliśmy się, bo wydawało nam się wtedy, że już ostatni raz w życiu się widzimy. Starałem się wszelkimi siłami powstrzymać od całkowitego złamania się, bo miałem tylko jedną chęć: położyć się i spać, spać i spać.

Ubraliśmy się, tymczasem całe mieszkanie było na nogach. Baraban z synem i jego szwagierka pakowali małe walizeczki z najważniejszymi rzeczami. Postanowiłem z Helą wybrać się do szpitala i tam wraz z całym personelem iść, gdzie nam każą. Co będzie ze wszystkimi kolegami, będzie z nami.

Na ulicach chaos nie do opisania. Wszyscy biegali na wpół ubrani, pytając się jeden drugiego, czy to prawda. Musieliśmy jednocześnie, przechodząc koło Pawiaka na Więziennej, b[ardzo] uważać, bo ci strażnicy strzelali sobie do nas jak do wróbli. Jedynie, co widzieliśmy konkretnie, to wózki rowerowe Sł[użby] Pom[ocniczej] przeprowadzającej się na Wołyńską. Tymczasem na ulicy już się zaczęły pokazywać plakaty. Treść brzmiała mniej więcej następ[ująco]: „Z polecenia władz Gmina poleca wszystkim Żydom do godz. 10-tej przeprowadzić się do czworoboku Gęsia–Zamenhofa–Niska–Smocza. Należy zabrać ze sobą jedzenie i picie na trzy dni. Cel: rejestracja i selekcja. Kto nie zastosuje się, zostanie rozstrzelany”[13].

Nie ulegało wątpliwości. Każdy się zastanawiał nad rejestracją i selekcją. Czy to ma być znowu jeden ze sposobów oszukania nas, byśmy szli tam, gdzie chcą. Jednakże przy ogólnym chaosie, rozpaczy wszyscy postanowili zastosować się

[13] W getcie rozplakatowano obwieszczenie:

„Na zarządzenie pana pełnomocnika dla spraw przesiedlenia Rada Żydowska w Warszawie podaje do wiadomości, co następuje:

1. Do niedzieli, dnia 6 września 1942 r. do godziny 10 rano winni wszyscy bez wyjątku Żydzi, przebywający w obrębie dużego getta, zgromadzić się celem rejestracji w dzielnicy objętej ulicami:

Smoczą, Gęsią, Zamenhofa, Szczęśliwą, placem Parysowskim.

2. Przejście Żydów podczas nocy z 5 na 6 września 1942 r. jest również dozwolone.

3. Należy zabrać ze sobą żywność na dwa dni i naczynia do picia.

4. Mieszkań nie wolno zamykać.

5. Kto nie zastosuje się do tego zarządzenia i pozostanie do niedzieli dnia 6 IX 1942 r. od godziny 10 rano w getcie (poza wyżej wymienionym obszarem) – zostanie rozstrzelany.

Rada Żydowska w Warszawie”.

do wezwania. A nuż ja uratuję się i będę miał prawo do życia. Każdy sobie tak myślał.

Dziś, gdy to piszę, zupełnie wyraźnie przypominam sobie stan psychiczny tych 150 000 ludzi, bo już dotychczas wymordowali – czyli wysiedlili – powyżej 200 000. Byliśmy zupełnie ogłuszeni poprzednimi zdarzeniami i to zarządzenie całkowicie dobiło, zamieniło nas w zwykłe zwierzęta prowadzone na rzeź.

Mieliśmy w szpitalu najcenniejszą naszą walizkę, bo z żywnością, i drugą, najpotrzebniejsze rzeczy, Anki i Stasia. Nie chciałem ich stracić, bo przecież każdy myślał, że nawet jeżeli wysiedlą, to przecież tam pozwolą jakoś żyć. Nawet nam, którzy z Niemcami już tyle stykaliśmy się i byliśmy świadkami ich bestialstw, nie przychodziło do głowy, że mogą setki tysięcy niewinnych ludzi zabijać tylko dlatego, że urodzili się Żydami.

Toteż poszedłem do szpitala[14], prosząc Helę, by pobiegła do Franki[15] i Sawka i dowiedziała się, co u nich.

Po drodze spotkałem Irkę, która była zupełnie prawie nieprzytomna, płakała i wzdychała, aż żal mi się zrobiło tego dziecka i posłałem ją do rodziców, do Szulca[16]. Po drodze do szpitala niesłychany rozgardiasz, sceny, jakie widziałem, to chyba tylko widziało się w czasach potopu, ludzie biegali we wszystkich kierunkach, po trotuarach i po jezdni. Matki z dziećmi na rękach. Wszyscy płakali. Między tymi tłumami przeciskały się wózki, riksze z pakunkami Sł[użby] Pom[ocniczej] i już pierwsze cywilnych osób. Trotuary zasłane poduszkami, bielizną i innymi paczkami, pogubionymi przez biegnących ludzi. Tylko gdy pokazywały się samochody z SS, wszystko milkło i uciekało pod mury lub w bramy. Przede mną właśnie przejechała taka ładna limuzyna, a w niej 4 SS (wyższych szarż), którzy uśmiechnięci, fotografowali tę rozpacz tych tłumów, a gdy zakręcili z Dzielnej na Karmelicką, rikszarz jechał w przeciwnym kierunku, to strzelili do niego, zabijając go. Na rogu Nowolipek i Karmelickiej leżał z roztrzaskaną głową chłopak, okazało się, że przed kilkoma minutami 2 chodzących pieszo SS tak się zabawiło. Obok walały się kawałki chleba itp. rzeczy, które nosił ten chłopak.

W szpitalu, do którego w końcu dostaliśmy się, było prawdziwe piekło. Zrozumieć może, co tam się działo, chyba tylko ten, który sam to przeżył lub był świadkiem tonącego okrętu. Już przy wejściu leżały paczki, walizki i rozsypane rzeczy, które wypadały z wynoszonych w pośpiechu, źle powiązanych tłumoków. W holu na dole rozpaczliwe krzyki służby, personelu, a przede wszystkim

[14] Szpital na Czystem pozostawał w swojej siedzibie przy ul. Dworskiej 17 do lutego 1941 r. Po przeniesieniu do getta jego oddziały zostały rozproszone pomiędzy Leszno 1 (oddział chirurgiczny i laryngologiczny), Tłomackie 4 (oddział położniczo-ginekologiczny i okulistyczny), Żelazną 86/88 (zakaźny), Stawki 6/8 (także zakaźny oraz wewnętrzny). W czasie wysiedlenia latem 1942 r. wszystkie oddziały szpitala zostały przeniesione na ul. Stawki 6/8, przy Umschlagplaztu.

[15] Franciszka primo voto Kaszubowa, secundo voto Rosenkrantz, siostra autora. Przeżyła, po wojnie w Izraelu. Jej jedyny syn Alexander zmarł tam w 2012 r.

[16] Chodzi o szop Schultza.

chorych. Już od razu na progu mnie poinformowano, że dyrektor dr Stein[17] z dyrektorem Wydziału Zdrowia dr. Milejkowskim[18] zostali wezwani do Gminy przez władze SS. Zrozumiałem z tego, że i szpital zagrożony. W każdym bądź razie postanowiłem czekać na wiadomość od Dyrektora i nieodwołalnie związać los mój ze szpitalem.

W międzyczasie rozejrzałem się po salach chorych. Już wiadomość o terminie do godz. 10 doszła już nawet do chorych. Lżej chorzy, chodzący sami, szli do magazynów i tam ubierali się i uciekali…

Dokąd? Oto pytanie, które na każdym kroku zadawali mi i zdrowi, i chorzy, bo widzieli, że wracam z miasta. Mogłem im tylko mówić to, co ja mam zamiar zrobić: zostać w szpitalu.

Straszny był widok ciężko chorych, ciężej rannych, gorączkujących, którzy błagali, żeby ich wywieźć, ratować, że chcą żyć, żeby ich nie zostawiać w szpitalu, bo już wiedzieli o plakatach, w których się groziło zabicie[m], kto nie zwolni tej dzielnicy.

I tu, jak zwykle, dużo bohaterskich ludzi mieliśmy, a szczególnie u pielęgniarek, które, mimo że każda miała własne pakunki, członków własnej rodziny, którymi miała się opiekować, ubierały chorych, zapakowywały im pakuneczki, a co najbardziej dobrze wpływało na chorych, to to, że się ich nie opuszcza na pastwę losu.

A tymczasem czas posuwał się. Wtem otrzymaliśmy z kancelarii już ostateczną wiadomość, że Dyrektor dzwonił, że i szpital podlega wysiedleniu i ma się zgłosić wraz z personelem i chorymi na Umschlagplatz.

Wiadomość ta zupełnie nas ogłuszyła, więc idziemy wszyscy na śmierć już dziś. To, co potem działo się w szpitalu, już nie może być opisane – piekło i piekło. Chorzy czołgali się na brzuchach do wyjścia, byle żeby być jak najdalej od szpitala, ci, którzy byli przygwożdżeni do łóżek i nie mogli się ruszać, rozpaczliwie błagali o ratunek. A nam się serca rozdzierały na ten widok i już przybywają pierwsze wozy, na które należy ładować chorych i rannych na Umschlagplatz. Widziałem, że nie ma już czego przebywać dalej na Lesznie w szpitalu. Trzeba myśleć o dalszym ratunku dla nas.

---

[17] Dr Józef Stein, Żyd katolik, dyrektor szpitala na Czystem, anatomopatolog, przed wojną pracujący w Szpitalu Dzieciątka Jezus, sprawował tę funkcję aż do ostatecznej likwidacji szpitala podczas powstania w getcie (zginął w Treblince w maju 1943 r.). Dr Stanisław Waller, którzy także pracował w szpitalu na Czystem, wspomina w powojennej relacji: „Dr Stein był doskonałym anatomopatologiem. Niezależnie od swoich kwalifikacji zawodowych odznaczał się jednak słabym charakterem i odnosiłem wrażenie, że w sprawach administracyjnych szpitala rządzi nim jego żona, osoba ambitna i energiczna" (AYV, O3.2358, Relacja Stanisława Wallera).

[18] Dr Izrael Milejkowski, lekarz i działacz społeczny, należał do grupy zasymilowanej inteligencji żydowskiej; w getcie był przewodniczącym Wydziału Zdrowia Rady Żydowskiej, uczestnikiem kursów medycznych (tzw. kursy Zweibauma), stanowiących w rzeczywistości tajny Wydział Lekarski Uniwersytetu Warszawskiego, jednym z organizatorów badań naukowych nad głodem. Zginął podczas akcji styczniowej (18–21 I 1943 r.).

Jest już godz. przed 10-tą. W ostatnich minutach jeszcze Hela pobiegła do Frani, z poleceniem, by Mamę umieszczono z teściami na Kupieckiej, tam mają schowek i gdy my się oswobodzimy, to stamtąd wydostaniemy rodziców Heli i Mamę.

Nie schowaliśmy się, bo w drodze ze szpitala doszła nas wiadomość, że szpital się nie wywozi, tylko na Umschlagu będzie dalej czynny. Wobec czego personel będzie potrzebny i że szpitalnicy mają się zebrać na Zamenh[ofa] 19[19], gdzie ma być selekcja, kto ma pozostać przy życiu i pracy, a kto będzie… zniszczony.

Tymczasem Hela wróciła z tym, że Mama jest razem z Anką i Stasiem, i wybraliśmy się ze szpitala na Zamenh[ofa] 19. Po drodze już znacznie mniej ludzi było widać. Tylko co kilka chwil doganiały nas wózki z chorymi ze szpitala w drodze na Umschlag.

Ulice były zasłane wszelkimi rzeczami, o jakich tylko można myśleć: ubranie, pościel, pudełka, jedzenie, konserwy, zabawki dziecięce, książki, tefilin itp. Nieliczni, którzy szli w kierunku czworoboku, byli oblani potem, obładowani paczkami, i co krok musieli odpoczywać, bo już bez sił. Tak zmęczeni do ostatka i wyczerpani nerwowo, i myśmy się wlekli, wzajemnie się podpierając. Jakby na urągowisko pogoda była cudna: słońce przygrzewało mocno, leciutki wietrzyk nie chłodził nas zupełnie.

I tak doszliśmy do rogu Dzielnej i Karmelickiej naprzeciw Pawiaka, gdy z bram tego miejsca katowania wysypuje się jedna grupa za drugą SS, którzy śmiejąc się całą gębą, pokazując sobie palcami nas tak ledwo chodzących, stroili sobie żarty. Nie zapomnę tych strasznych, śmiejących się gąb z naszego nieszczęścia. Rozsypali się w tyralierę i zaczęli zalewać te wszystkie ulice.

Spojrzałem na zegarek i zrozumiałem: jest już godz. 10-ta. Po chwili zaczęli strzelać do nas i znów wybuchły śmiechy, gdy my, ostatecznie zmęczeni, pod wpływem instynktu życiowego zrywaliśmy się do biegu i tak dopadliśmy do Zamenhofa.

Tam prąd ludzki już zaniósł nas do nr. 19 i wpadliśmy na podwórze, gdzie rzuciliśmy się na nasze pakunki, ciężko oddychając. Po chwili, gdyśmy sobie uświadomili, że chwilowo uniknęliśmy niebezpieczeństwa kul SS, zaczęliśmy się rozglądać w nowej naszej sytuacji. Podwórze było przepełnione takimi jak my. Większość znajomych mi osób, gdyż był to punkt zborny dla szpitala i Wydz[iału] Zdrowia. Największe skupisko było koło kranu z wodą, gdyż to dźwiganie pakunków i przestrach zupełnie nam usta wysuszył[y].

Do naszej grupki stopniowo zaczęli się przyłączać nasi znajomi i przyjaciele i radziliśmy nad naszym losem i nad naszą przyszłością. Do nas przyłączył się też: dr Poznański[20], któremu trzy dni przedtem Niemcy zabrali żonę, a on sam został całkowicie złamany, odchodzący od zmysłów z rozpaczy za swoim

[19] 10 VIII 1942 r. siedzibę Judenratu przeniesiono z ul. Grzybowskiej 26 na ul. Zamenhofa 19.

[20] Dr Nikodem Poznański, ur. 9 XI 1909, internista, przed wojną pracował w szpitalu na Czystem.

nadzwyczajnym dzieckiem (któreśmy tak wszyscy pieścili). Nie mogąc sobie z niemowlęciem 6-miesięcznym dać rady, wysłał je przez szwagra na aryjską stronę i stracił przez ostatnie zajścia kontakt z nim, gdyż i szwagier już nie wrócił do getta. Pocieszaliśmy go, jak mogliśmy, zresztą tak jak skazańcy na śmierć pocieszają się nawzajem, że nie warto się martwić, gdyż i tak nasze godziny są policzone.

Wobec tego, że nas od zarządu Gminy dr Milejkowski poinformował, że nasz pobyt w tym domu potrwa 2–3 dni, aż się przeprowadzi selekcję ludzi, postanowiłem znaleźć w jakimś mieszkaniu pomieszczenie na noc, gdyż obawiałem się o Helę, że ze względu na poprzednie jej doskonałe warunki życiowe nie zniesie tych trudów.

Na frontowej klatce schodowej na I piętrze w 5-pokojowym mieszkaniu zastaliśmy już wszystkie pokoje zajęte, w środkowym (jadalnia poprzednio) zastaliśmy pracowników fizycznych szpitala, którzy mnie lubiąc, natychmiast nas zaprosili, udzielając nam miejsca na podłodze. Zjedliśmy śniadanie: wyjrzeliśmy przed okna wychodzące na Zamenhofa i na ul. Kupiecką. Cały tragizm naszej sytuacji uświadomiłem sobie, gdy ujrzałem ulicę.

Byliśmy otoczeni kordonem SS – jeden od drugiego stał w odległości 1 m, a poza tym z tyłu szły patrolki. Kordon ten otaczał cały nasz czworobok, stojąc wzdłuż linii tramwajowych, oddzielając domy z tej strony od sąsiedniej. Rozpacz ogarnęła mnie – byliśmy w pułapce. Wyciągnięci z naszych domów, gdzieśmy mieli jeszcze możliwości jaki[ch]ś schronów, tu, w nieznanym domu, byliśmy łatwą igraszką dla tych zbójów. Zależało tylko od nich, żeby nas jak szczury pozbierać i wydusić. Dusiłem się w rozpaczy i bezsilności. Rozpiąłem na sobie kołnierz, koszulę. Nie mogłem sobie darować, że dałem się wciągnąć w taką straszliwą pułapkę i co gorsza moją kochaną żonę tak lekkomyślnie sprowadziłem na śmierć. Przecież mogła pójść ze swoimi rodzicami i schować się na Kupieckiej (która znajdowała się poza kordonem i na niej był zupełny spokój). Myśli moje, których nie wypowiadałem przed Helą, gdyż nie chciałem odsłaniać przed nią zgrozy sytuacji, nie pozwoliły mi usiedzieć w miejscu. Pobiegłem do piwnic, na strych, przejrzałem wszystkie mieszkania, z myślą że znajdę jakiś schowek, ale daremnie. Zresztą zrozumienie sytuacji widocznie ogarnęło większość, bo ludzie w tych samych celach latali jak szaleni, ale bez skutku.

Wróciłem złamany do mieszkania i częściowo powiedziałem żonie prawdę, jednocześnie pocieszając ją, że nie damy się w ten sposób wziąć i że w nocy, w ciemnościach, będziemy usiłowali przekraść się między SS na Kupiecką. Uświadomiłem ją, że jest to prawie samobójstwo, gdyż małe szanse mamy, żeby nas nie spostrzegli, ale Hela natychmiast się zgodziła ze mną, woląc w ten sposób umrzeć niż bez próby ratowania się zostać ujętym i uduszonym przez hitlerowców.

Tymczasem godziny uciekały. W pokoju nie mogłem usiedzieć, gdyż serce rozrywało się, patrząc na dzieci, bawiące się, zadowolone ze zmiany warunków. Szczególnie dzieci dwóch pielęgniarek, dwie śliczne dziewczynki 6-letnie, stale

pytały się matek, dokąd się wybierają z takimi pakunkami, i pocieszały matki, całując je, żeby się nie martwiły, bo niedługo się z tatusiami zobaczą.

Jedna z tych pielęgniarek pracowała na naszym oddziale i wiedziałem, że z początkiem wojny rosyjsko-niemieckiej przedzierała się przez front pod gradem kul, żeby odebrać dziecko, które z babką było po stronie sowieckiej. Po cichu wszyscy płakaliśmy, przyglądając się tym dzieciom.

Po skromnym (chleb suchy z herbatą) obiedzie wyszedłem na ulice na wiadomości. Na ogół nikt nie chodził z wyjątkiem członków Sł[użby] Porząd[kowej] Żyd[owskiej], gdyż widok kordonu SS i częsta strzelanina do pokazujących się Żydów odbierała każdemu chęć do spaceru. Ja jednak postanowiłem dostać się do Gminy, która była w sąsiednim domu pod nr. 17, w dawnym więzieniu wojskowym.

Jakoś z biciem serca, ale doszedłem. Tam spotkałem dyrektora Steina i wielu innych lekarzy i dowiedziałem się, że jutro rano ma nastąpić ułożenie listy członków szpitala, którzy mają dalej pracować, a reszta jako zredukowana traci prawo do życia. Ilu ma być na liście szpitalnej, nie wiadomo jeszcze, w każdym bądź razie uświadamiano sobie, że katastrofalna liczba.

Wróciłem do mieszkania, bez złudzeń co do przyszłości. Postanowiłem tylko po naradzie z Helą zrewidować nasz plan co do nocy, w tym sensie, że jeżeli będą szanse do ucieczki, to nie czekać na selekcję, ale samobójstwa przez rzucenie się na SS nie popełniać, bo na takie rozwiązanie zawsze znajdzie się czas.

Przed wieczorem nowy cios w nas uderzył. Oto widzimy, jak od Zamenhofa grupa około 30 SS-manów, uzbrojonych od stóp do głów w granaty, karabiny maszynowe itp., poza tym w siekiery, kilofy i żelazne drągi, udała się na Kupiecką.

Zrozumiałem od razu, o co chodzi, mają przeszukać ul. Kupiecką, czy tam nikt się nie ukrył. A przecież tam są nasi najdrożsi i najbliżsi: mama moja z Anką i Stasiem (przypuszczałem, że schowa się ona razem z Mamą, a nie pójdzie na selekcję, bo wtedy na pewno jej zabiorą Stasia na śmierć), rodzice Heli.

Staliśmy jak przygwożdżeni do szyb i patrzeliśmy, odchodząc od zmysłów prawie, na to, co się dzieje na ulicy na wprost nas. Na gwizd starszego z tych zbójów rozsypali się oni po domach i już po chwili słyszeliśmy huk rozbijanych drzwi do mieszkań. Cisza był taka, że nawet rozróżnialiśmy nawoływanie się i śmiechy tych bestii.

W pewnej chwili słyszeliśmy głośniejsze krzyki rozpaczliwie odkrytych Żydów, których te bestie katowały, a po chwili po kilku strzałach znowu wszystko przyciszało się. Nie mogliśmy oderwać się od okien, chociaż ludzie prawie siłą chcieli nas odprowadzić w głąb pokoju, bo hitlerowcy z ulicy strzelali sobie do ukazujących się w oknach sylwetek ludzi.

Każdy krzyk, każdy strzał wydawał się nam, że strzelają i katują naszą matkę lub rodziców. Trwało to blisko 2 godz[iny], aż znowu na gwizdek zebrali się, już teraz obładowani zrabowanymi rzeczami, i poszli, śmiejąc się i opowiadając sobie ucieszne szczegóły z ostatnich chwil mordowanych ludzi. Po krótkim czasie przyszedł do nas członek Sł[użby] Porz[ądkowej], który miał służbę na rogu

Zamenhofa i Kupieckiej, i opowiedział, że wyłapali 16 osób i zamordowali, a na Kupieckiej, gdzie nasi byli, nikogo nie odkryli.

Nastała noc koszmarna. Nikt z naszych współtowarzyszy nieszczęścia nie spał. Jedynie dzieciaki, nie przeczuwając nic złego, spokojnie sobie spały na kolanach matki. My, starsi, albo rozmawialiśmy po cichu ze sobą, zadając sobie po raz tysięczny pytanie: dlaczego, czego oni od nas chcą i dokąd nas los prowadzi, albo siedzieliśmy zatopieni we własnych smutnych myślach.

Dla Heli i dla mnie urządziłem prowizoryczne posłanie na niskim kredensie, przykrytym grubą taflą szklaną. I tak leżeliśmy zmęczeni, napastowani stale przez rozpaczliwe myśli. Przez okna widzieliśmy ulicę. Tam hitlerowcy w kilku miejscach rozpalili sobie ogniska i w świetle tych widziałem, że absolutnym niepodobieństwem był mój dzienny projekt przedarcia się przez kordon, bo już w chwili wyjścia z bramy na ulicę zastrzeliliby nas.

Jedyne osoby, które szły ulicą, to były patrole Sł[użby] Porz[ądkowej], i ci stale nawoływali do SS, „Ordnungsdiendt – Nachtdienst", żeby nie strzelali do nich. Mimo to, jak nad ranem się dowiedzieliśmy, SS najspokojniej, jak im się zachciało, zastrzelili kilku ze Sł[użby] Porz[ądkowej], w tym jednego ich oficera wyższego.

Rano umyliśmy się, a po zjedzeniu naszych skromnych zapasów wybrałem się do Gminy, uważając, że należy być tam, gdzie decyduje się nasz los. Hela początkowo ze względu na niebezpieczeństwo przejścia przez ulicę odradzała mi, ale gdy jej wytłumaczyłem, że przy układaniu listy przez Dyrekt[ora] ten będzie się prawdopodobnie kierował sympatiami nie tyle swoimi, ile jego żony, więc koniecznym jest, by była kontrola ze strony lekarzy. A więc my, delegaci, powinniśmy tam być. I słusznie, zdaje się, że przez moją obecność wtedy uratowałem nie tylko siebie i Helę, ale jeszcze 3 lekarzy z żonami i dziećmi.

Komisja, która obradowała na parterze w domu Gęsia 17 (dawne więzienie), składała się z Dyr[ektora] Steina, dr. Milejkowskiego – dyr[ektora] Wydz[iału] Zdr[owia] (ale jego nie było przy układaniu listy), dr Braude-Hellerowej[21] (dyr[ektorki] szpitala dziecięcego) i płk. Kona[22] z Wydz[iału] Zdrowia.

Wobec tego, że okna wychodziły na podwórze, więc dobrze można było obserwować z daleka Komisję. Ja w grupie kilku lekarzy staliśmy w odległości i przyglądaliśmy się. Od razu nas wszystkich niemile uderzyło, że razem z Komisją siedzi pani Dyrektorowa, (później dowiedzieliśmy się, że jako sekretarka) i że dyrektor, który na ogół z nami dobrze żył i zawsze po przyjacielsku się witał,

[21] Dr Anna Braude-Hellerowa, pediatra, działacz społeczny, przed wojną z jej inicjatywy w 1930 r. wznowił działalność szpital dla dzieci im. Bersohnów i Baumanów, od tego czasu aż jego ostatecznej likwidacji w sierpniu 1942 r. była jego lekarzem naczelnym i ordynatorem oddziału niemowląt; w getcie przewodniczyła także Komisji Zdrowia, brała udział w badaniach nad chorobą głodową. Zginęła podczas powstania w kwietniu 1943 r. w ostatnim szpitalu getta przy ul. Gęsiej 6/8.

[22] Dr Mieczysław Kon, pułkownik WP, w czasie oblężenia Warszawy jeden z inspektorów sanitarnych miasta, w getcie pracował w kierownictwie Wydziału Zdrowia Judenratu.

tym razem jakoś nas nie chciał zauważyć i nawet nie spojrzał. Widocznie tam z nami lekarzami nie było w porządku.

Wobec tego Kahan[23] poszedł porozumieć się z Milejkowskim, a ja zostałem na jego miejscu (Ratnera[24] nie było).

W pewnej chwili wchodzi dr Kon z Wydz[iału] Zdrowia z listą, widać już gotową, członków Wydz[iału] Zdr[owia], i coś perswaduje dr. Steinowi i dr Braude-Hellerowej. Zaczyna się spór i po chwili wzywają mnie i p. Dyrektorowa tłumaczy mi następującą sprawę.

Wobec tego, że Niemcy zezwolili na zostawienie w Gminie pracowników 3000 osób, to na szpital wypadło około 120 osób (ściśle ile, nie pamiętam). Należy wobec tego przeprowadzić wielką redukcję – śmierci. Każdy człowiek, czy to dziecko, czy kobieta, czy mężczyzna, otrzymują kartkę życia z nr. i przy selekcji wobec Niemców ci zostaną, którzy będą się mogli wylegitymować takim nr.

Wydział Zdrowia rozwiązał [tak] tę sprawę, że umieścił na liście tylko takich lekarzy i pracowników, którzy zostali już bez rodzin, i tym samym będzie Wydział miał na liście samych faktycznych pracowników.

W szpitalu sprawa była inna, bo u nas przeważnie rodziny zostały nieruszone, bo się uchowały w gmachu szpitala, to teraz jest propozycja: żeby podali nazwiska ci lekarze i ze służby, którzy zgadzają się na zrezygnowanie z żon i rodzin, a za to otrzymują numer, gdyż w innym wypadku przyjęcie na listę żony z dziećmi zmniejszy ilość faktycznych pracowników, ale za to uratuje dzieci i żony.

Misja dowiedzenia się u członków szpitalnictwa, jak pragną rozstrzygnąć te kwestje, została mnie przydzielona. Dla mnie sprawa było jasna, że nikt lub prawie nikt nie zgodzi się chyba wysłać na śmierć swoich żon i dzieci, żeby samemu się uratować, i to powiedziałem, a jednak pogląd był u części komisji, że uda się uzyskać taką listę osób, i wtedy narzucona przez SS sprawa decydowania, kogo zostawić przy pracy, a kogo oddać w ręce Niemców, zostałaby rozstrzygnięta.

Poszedłem na Gęsią 19. Zebrałem koło siebie wszystkich. Przedstawiłem te dwie alternatywy i powiedziałem, że z nakazu komisji mam zebrać listę tych, którzy rezygnując ze swoich bliskich, mają zostać przy życiu. Dałem kilkanaście minut do namysłu i naradzenia się i wziąłem kartkę papieru z ołówkiem, i stanąłem w kącie, czekając na oznaczony czas. Spojrzałem na Helę, która podeszła do mnie, prosząc, bym sam się wpisał na listę, a ona już niby da sobie radę. Wiedziała dobrze, że już żadnej rady nie będzie, że bez numerka to śmierć. Uśmiechnąłem się, bo już moja decyzja od razu zapadła, i trochę się z nią drażniąc, powiedziałem, że bezwzględnie się zapiszę na listę. W międzyczasie na podwórzu

[23] W Warszawie było trzech lekarzy o nazwisku Kahan: dr Aleksander Kahan, ur. 20 II 1898, internista; dr Izaak Kahan, ur. 31 III 1905, chirurg stomatolog, oraz dr Dawid Hirsz Kahan, ur. 11 IV 1912, internista, który przed wojną pracował w szpitalu na Czystem. Być może chodzi o tego ostatniego.

[24] Izydor Jerzy Ratner, ur. 1910 w Warszawie, ukończył studia medyczne na UW w 1934 r., lekarz chorób wewnętrznych, przed wojną pracował w szpitalu na Czystem.

wrzało jak w ulu. Zdaje się, że ludzie dopiero w tej chwili zrozumieli, że część nasza jest skazana na śmierć i że tylko nieliczni wybrani będą mieli prawo do życia.

Nastrój był nie do opisania – smutek i rozpacz bezgraniczna. O oznaczonej minucie wszyscy mnie otoczyli, a ja z ołówkiem gotowy do pisania. I tu stała się rzecz, z czego dumny jestem, że to w takich warunkach u Żydów się stało. Zażądano ode mnie, żebym ja pierwszy się wypowiedział. Oświadczyłem głośno, że ja na listę nie wpiszę się, bo co się ma stać z moją żoną, stanie się ze mną. No i… nikt na listę się nie wpisał z wyjątkiem dwóch osób, które były samotne.

Z wynikiem wróciłem do Gminy. Opowiedziałem komisji reakcje ludzi na te propozycje, czem wywarłem wielkie zadowolenie u niektórych członków, a szczególnie u p. dr Braude-Hellerowej. Była zadowolona z takiej postawy ludzi.

Nie pozostało im nic innego, jak samym układać listy. Przy okazji tej rozmowy z komisją zauważyłem, że już projekt listy leży na stole, i przeglądając go, zrobiło mi się zimno – lista zawierała tylko nazwiska Dyrektora z żoną, jego bliskich, ordynatorów i ludzi mile widzianych przez Dyrekt[ora/Dyrektorową]. Z lekarzy nie ordynatorów nie było nikogo za wyjątkiem Kahana z żoną.

Zrozumiałem, że jeżeli nie będę walczył i odstąpię na krok od układania listy, to jestem zgubiony jak i inni lekarze.

Poszedłem więc z nimi na I piętro, gdzie mieli ostatecznie ułożyć listę. Tu pracowali tylko Dyrektor, Sztabholc[25], no i p. Dyrektorowa.

Przez jednego z kolegów dałem znać innym kolegom o planie listy, a sam zacząłem przekonywać i prosić Dyrektora, żeby zechcieli i nas uratować. Niestety, jak groch o ścianę. Dyrekt[or] tylko się tłumaczył, że ma ograniczoną ilość miejsc, i nikogo więcej nie dopisze.

Wiedziałem, że tu nic nie wskóram, a tymczasem czas rozdawania „znaczków życia" zbliżał się. Wyszedłem załamany i częściowo już zrezygnowany na dwór. Tu już byli inni koledzy, którzy zdążyli dowiedzieć się o liście. W tej chwili właśnie przechodził dr Milejkowski. Rzuciliśmy się do niego, to znaczy ja, Franio Fliderbaum[26] i Cygielnik[27], i opowiedzieliśmy mu o załatwieniu Dyrekt[ora]. Oburzył się i przyrzekł nam natychmiast interweniować. Poszedł z nami na górę i nakazał Dyrekt[orowi] dopisać nasze nazwiska, i on już załatwi, że przydzielą jeszcze kilka numerów dla nas.

Więc bez uszczerbku dla nikogo myśmy mieli tez żyć i tu Dyr[ektor] Stein dziwnie się zachował (chyba chciał te dodatkowe numerki znowu dla kogoś ze swoich mechesów), i nie zgodził się i tłumaczył się, że nie będzie etatu itp. Na to myśmy się już wmieszali i dr Milejkowski dla złagodzenia awantury nakazał mu napisać, a etaty się znajdą. W końcu p. Dyrektorowa wzięła listę i dopisała nasze nazwiska.

---

[25] Dr Ignacy Sztabholc, inżynier, kierował administracją szpitala na Czystem, następnie przy ul. Gęsiej.

[26] Franio Fliderbaum, ur. 1898, lekarz chorób wewnętrznych.

[27] Abram Nusym Cygielnik, ur. 1911, ginekolog położnik.

Ocaleliśmy w ten sposób dzięki dr. Milejkowskiemu. Wyszliśmy od Dyrek[tora] z głębokim żalem do niego.

Następnego dnia dr Milejkowski większości lekarzy udzielił „numerki". Wróciłem do Heli. W międzyczasie, gdy ja byłem w Gminie, zaczął się przemarsz grup, które ocalały w selekcji. Szły one z „Umschlagu" w kierunku do swoich bloków, czwórkami prowadzeni przez Werkschutzów. Przyglądając się temu przemarszowi, stało się nam jasne, jaką straszną i o jakich rozmiarach selekcję przeprowadzili Niemcy.

Oto szła grupa C. Toebbensa. Najliczniej reprezentowana firma wśród pracujących w getcie. Wracała nieliczna grupka, wśród której można było widzieć pojedyncze kobiety, a dzieci ani śladu. Pozostali tylko mężczyźni, i to w znikomej ilości. Widocznie gdy matki chciano odłączyć od ich dzieci, te wolały pójść razem z niemi na śmierć. W tym humanitaryzm Niemców się objawiał, chętnie spełniali prośby chcących jechać do Treblinki.

Właściwie to już w tym okresie w getcie starców, dzieci i większości kobiet nie było, gdyż były dotychczas już wyłapane.

Hela obserwowała przez okno przemarsz tych grup ze strasznym niepokojem, bo przecież wśród jednej z tych grup miała być Irka. Niestety, nie zauważyliśmy jej. Nawet wyskoczyliśmy na ulicę, by się dowiedzieć, co się stało z szopem z Leszna, w którym Irka pracowała, ale nikt nie mógł nas poinformować. Również i Anki ze Stasiem ani Ewy[28] nie widzieliśmy wśród przemaszer[ow]ujących. Pocieszaliśmy się, że może przechodzą Nalewkami, ale do naszej obawy o nasz los przyłączyła się rozpacz o naszych najbliższych.

I tak przy oknie staliśmy, aż się ściemniło. Wieczorem każdy siedział w swoim kącie smutny, bez chęci do jakiejkolwiek rozmowy, niegłodni i zrozpaczeni. Kiedy niekiedy wypowiadano tylko zdanie, które każdy przemyśliwał stokrotnie, jakby to było dobrze, gdyby teraz na[d]leciały samoloty sowieckie i zbombardowały Warszawę wraz z nami. Jaka słodka by się nam wydawała śmierć, wiedząc, że z nami giną nasi oprawcy i hieny ze społeczeństwa polskiego.

Jednak jakby na przekór – SS i Ukraińcy rozniecali ognie, gotując się do przenocowania i nie obawiając się żadnego nalotu.

Noc była koszmarna. Wątpię, czy ktoś zmrużył oko, słychać tylko było przewracanie się z boku na bok i częste westchnienia.

Następnego dnia rano udałem się znów do Gminy. Tu panował już gorączkowy ruch od wczesnego rana. Listy zostały wykończone i przesłane do sztabu SS[29], który zajmował się akcją wytępienia Żydów.

---

[28] Ewa Lessing (1904–1998), siostra autora, farmaceutka, prowadziła w getcie aptekę. W czasie akcji wysiedleńczej straciła dwie córeczki, Elżunię i Zosię. Przeżyła; po wojnie wyemigrowała do Izraela, urodziła syna, Yossiego.

[29] Akcją wysiedleńczą w warszawskim getcie kierował Befehlstelle – sztab specjalnej formacji Einsatz Reinhardt, ze sturmbannführerem SS Hermannem Höflem na czele, przybyłej z Lublina; miał siedzibę w kamienicy przy ul. Żelaznej 103.

Dowiedziałem się o niezwykle ważnych szczegółach, a mianowicie, że Niemcy postanowili zostawić przy życiu tylko 10% getta – czyli że pozostanie jakieś 35 00[0] ludzi. Reszta, tj. jakieś 15[0] 00[0] ludzi, musi pójść teraz na stracenie.

Więc prawdą jest to, że już dotychczas wytorturowali i wymordowali 350 000 ludzi w ciągu od 21 lipca do 8 września.

Zgadza się to z tą liczba, którą myśmy mieli, bo w ciągu 6 tygodni dzień w dzień ładowali po 6–8000 ludzi, a w niektóre dni odchodziły dwa transporty, już nie licząc zamordowanych na cmentarzach żyd[owskich], na ulicach i po mieszkaniach.

Nie byliśmy w stanie tchu złapać, sucho zrobiło się w gardle, odczuwaliśmy ból przy łykaniu ze suchości i w ogóle odechciało się nam rozmawiać, żyć, a przede wszystkim myśleć. Jak to możliwe, by w ciągu 6 tygodni wymordować 400 000 ludzi niewinnych, dzieci, które z zaufaniem chwytały się rąk i mundurów tych bestii niem[ieckich], zanim oni roztrzaskiwali im głowy.

Gdzie świat, gdzie ta wysławiona moralność, gdzie chrześcijaństwo, dlaczego pozwalają im na cos podobnego i za co?

Męczyliśmy się duchowo, ale znikąd ani śladu nadziei.

Tymczasem wybiegł z gmachu Dyrektor i polecił nam, tzn. tym, którzy są na liście, po cichu się zebrać i bez zwrócenia uwagi reszty, która miała zginąć, i przeprowadzić się do gmachu Gminy, bo tu o godz. 10–11-tej ma się odbyć selekcja ostateczna.

Wróciliśmy na Zamenhofa 19 po resztę naszych, a ja po Helusię, i mimo że zacho[wy]waliśmy się dyskretnie, wszyscy się zorientowali, o co chodzi, i rozpoczęła się scena, której chyba Dante nie potrafiłby opisać. Zrozumieli, że są straceni bez ratunku, gdyż już przy bramie znaleźli się policjanci z listą i wpuszczali tylko tych figurujących na liście. Krzyki tych ludzi może na mnie by tak nie wpłynęły jak ta cicha rozpacz, chodzili z miejsca na miejsce, całując swoje dzieci, jak przy ostatnim pożegnaniu, małżeństwa wzajemnie się pocieszały, że widocznie taki los jest Żydów, niektórzy targali się za włosy, inni znowu modlili się, słychać było także głosy przekleństw pod adresem dyrekcji, szczególnie wzmagające się, gdy przechodziły całe rodziny ordynatorów, wyprowadzane przez Sł[użbę] Porz[ądkową].

Ja z Helą nie mogliśmy już więcej przyglądać się i przysłuchiwać tym scenom. Zresztą raz po raz przybiegał do nas jeden ze Sł[użby] Porz[ądkowej], że już ostatecznie zamyka bramę, i poszliśmy.

Na placu Gminy (dawniej miejsce spaceru więźniów więzienia wojskowego) już zaczynały się zbierać kolumny po 6 [osób] w szeregu według instytucji, w których się pracowało. My z Wydz[iału] Zdrowia i szpitalnictwa mieliśmy pójść na sam koniec. Więc dopiero teraz zaczęto nam wydawać numerki życia wg listy. Były to z tektury porobione kartoniki dług[ości] 15 cm na 8, koloru żółtego, na którym wypisywano numer kolejny, nazwisko i imię, instytucja, w której się pracowało, i stempel z podpisem Gminy.

Chodziło o to, że w Gminie selekcje zostawiono wł[adzom] Gminy, to znaczy, że udzielono im 3500 miejsc do życia, a komu dać, to Gmina miała decydować.

Dlatego też jedyna instytucja, która zachowała dzieci, kobiety, a nawet starców, bo jak dano komuś kartkę, to jednocześnie i żonie i dzieci i całej rodzinie, jak to było z rodziną Dyrektora. Około 11-tej pojawili się na placu SS i przyspieszono rozdawanie i od razu zaczęły się formować kolumny na czele [ze] Sł[użbą] Porz[ądkową], wśród której dokonano olbrzymiej selekcji.

Najbardziej to też oni się rozczarowali co do Niemców, bo ci stale im przyrzekali, że za pomoc w akcji łapania i wyszukiwania Żydów im nic nie grozi i ocaleją wraz ze swoimi rodzinami. Jeszcze pod koniec sierpnia otrzymali I uderzenie, bo im zabrano rodziny, a zostawiono żony i dzieci. Teraz przy tej selekcji to już bez rękawiczek ich samych potraktowano tak jak i innych Żydów, bo już SS-owcom nie byli potrzebni.

Prawda, że z tych usuniętych część umieścili na placówkach, ale większość poszła na śmierć, sami przeklinając siebie, że pomagali Niemcom.

Zbliżała się godz. 11-ta i SS przejęło władzę na placu, co chwila słychać już było strzał i krzyki zabijanych ludzi, przeważnie wśród tych, którzy chcieli wcisnąć się do kolumn, by się w ten sposób uratować. Coraz więcej SS i gestapowców z knutami i rewolwerami w rękach przebiegało przez kolumny i odpędzali ludzi bez kartek na plac w kierunku Gęsiej. Rozdzierający był widok tych ludzi (wśród nich nasi koledzy lekarze), którzy przez głowy Niemców błagali nas o ratunek.

Szczególnie żona dr. Janowskiego[30] straciła zmysły i nawet szarpanie i uderzanie butami SS nie odpędzało jej z dzieckiem z tego dziedzińca. Dopiero kilku ze Sł[użby] Porz[ądkowej] już pokrwawioną wyniosło dalej na plac.

Zaczęła się defilada śmierci. Defiladę odbierali: Sztab SS akcji tępienia Żydów z udziałem przedstawicieli gestapo warszawskiego. Stali oni z obu stron bramy, którędy wychodziło się z więzienia na ul. Zamenhofa, a my przechodziliśmy 6-kami. Każdemu zaglądali w twarz i patrzyli, czy ma „numerek życia", i jednocześnie odliczali, żeby się przypadkiem nie uratował o jeden Żyd więcej.

Kolumny zaczęły przechodzić: my jako ostatni widzieliśmy, jak wkraczały do bramy jedna za drugą eskortowane z boków przez SS z nahajkami i rewolwerami w rękach. Nierzadko słychać było wśród panującej ciszy świst spadającej nahajki na głowy przechodzących.

W końcu i nasza kolumna ruszyła i powoli krok za krokiem zbliżaliśmy się do bramy. W bramie przyjął nas śmiech stojących tu SS-owców i gestapowców, którzy widać cudnie się bawili naszym wyglądem zrozpaczonych i ściganych zwierząt.

To, co mnie i zresztą prawie wszystkich uderzyło w wyglądzie tych zbrodniarzy – było wrażenie, jakie my wszyscy odnieśliśmy, patrząc na nich. Przez ten cały czas ostatniej akcji tępienia, ciągle ścigani i stale się ukrywając, nigdy pra-

[30] Dr Ilja Janowski, ur. 1904, specjalista chorób wewnętrznych, pediatra, przeprowadzał także analizy lekarskie. Przed wojną pracował w szpitalu na Czystem, w czasie okupacji także w laboratorium Gminy.

wie nie widzieliśmy z pobliża Niemca, bo inaczej by nas nie było. Ale widząc i słysząc o tych morderstwach i bestialskich znęcaniach się, wyrobiliśmy sobie obraz Niemców jako o ohydnych twarzach, a tu tymczasem stała grupa tych oprawców – młodych i starszych, elegancko ubranych, czystych, a niektórzy z dość „miłym" wyglądem, jak się wyrażano, „podobni do profesorów". O właściwym ich znaczeniu tylko świadczyły rewolwery i nahajki w rękach no i… uderzenia, któreśmy otrzymali. Przechodząc koło nich, jeden starszy hitlerowiec, siwy, w złotych pince-nez, liczył każdy szereg i dawał znak przejścia, uderzając po głowie nahajką. Wobec tego, że ja byłem przy brzegu szeregu, mając Helę ku środkowi, to też ja otrzymałem te uderzenie, które mi przypomniało o właściwym stanie.

Gdy cała kolumna przeszła, kazano nam pomaszerować do naszego bloku mieszkalnego na Pawiej. Po drodze, jak zwykle, co kilka kroków trup lub kupa zwłok, a przez całą prawie drogę ślady krwi.

Mieszkanie zastaliśmy całkowicie przewertowane. Wiele bardziej wartościowych rzeczy poginęło, co było dowodem, że bohaterowie „nowego porządku" działali tu w imieniu Fuehrera.

Nastąpiła teraz reakcja po ostatnich ciężkich przeżyciach, czuliśmy się zupełnie bez sił, całkowicie wyczerpani, i po małym posiłku rzuciliśmy się na łóżka i mimo zmęczenia leżeliśmy, nie śpiąc.

Przed wieczorem udaliśmy się na Pawią 4, gdzie mieszkał Dyrektor z innymi radcami Gminy, bo chciałem się dowiedzieć, co słychać. Z chwilą, gdy myśmy wyszli z bezpośredniego niebezpieczeństwa, znowu z całą grozą wysunęły się sprawy naszych najbliższych.

U Dyrektora dowiedzieliśmy się, że akcja selekcji została zakończona, że wszystkich pozostałych spędzono na Umschlag, gdzie się ładuje już wagony i odchodzą transporty śmierci. Co do naszych ludzi ze szpitala, to od razu po tym, jak myśmy zostali wyprowadzeni, to SS urządziło polowanie i wszystkich wyprowadziło. Niektórzy, którzy się ukryli i zostali schwytani, zostali w bestialski sposób na miejscu ubici.

Nasze auto zostało zorganizowane do ratowania naszych ludzi szpitalnych z Umschlagu w ten sposób, że niby zawoziło chorych do szpitala na Stawki i wracając, będzie zabierało uratowanych jako należących do personelu szpit[ala].

Dziwne, ale żandarmeria i SS przepuszczali naszą karetkę z ludźmi w białych fartuchach i w ten sposób kilkadziesiąt osób, przeważnie lekarzy i rodzin radców Gminy, uratowano, aż Niemcy zabronili przyjeżdżać na Umschlag. Widocznie jeszcze nie mieli rozkazu zabrać się do szpitala.

Wracając od Dyrektora, zastałem wezwanie z Gminy, żeby następnego dnia zgłosić się wraz ze wszystkimi mężczyznami i z pewną liczbą kobiet o godz. 7-mej rano w Gminie i stamtąd mamy wyruszyć do „Werterfassung SS"[31] do dyspozycji SS, i tam mają nas zatrudnić. Wypadało mniej więcej raz na dwa dni, jeże-

[31] Właśc. Werterfassungsstelle – przedsiębiorstwo SS zajmujące się gromadzeniem i spieniężaniem mienia po zamordowanych Żydach na terenie getta warszawskiego.

li chodziło o lekarzy, bo uważano, że poza pracą lekarską w szpitalu, my, lekarze żydowscy, powinniśmy jeszcze fizycznie pracować dla SS. Urządziliśmy się w ten sposób, że wg listy co drugi dzień szpital wysyłał nas na roboty.

Rano wybraliśmy się na miejsce i stamtąd jakiś grupowy zaprowadził nas na Niską, gdzie jeden z SS-owców wybrał z naszej grupy 10-ciu zdrowych i młodszych i wozem pojechaliśmy na Żelazną do opuszczonych domów po Żydach, skąd pod kontrolą SS-owca z pejczem musieliśmy znosić meble, ubrania i zapasy, jednym słowem wszystko, do wozów, które zabierały to do magazynów. Pracowaliśmy, popędzani często pejczem, bez chwili odpoczynku, i często przy ładowaniu na wozy spotykaliśmy się z ludnością polską, bo ulica była przedzielona na część polską i żydowską (getto).

Tu jeszcze raz poznaliśmy naszych współobywateli. Był z nami wtedy jeden SS-man, który na naszą prośbę pozwolił nam zakupić sobie chleb, bośmy przecież głodowali w getcie, a zresztą od rana bez jedzenia, więc prosiliśmy przechodzących Polaków, żeby niewiele zrobili, tylko wziąć od nas pieniądze i kupić po drugiej stronie ulicy w sklepie chleb, przy czem SS-owiec zachęcał ich i… nie znalazł się ani jeden, wprost przeciwnie, przystawali, przyglądali się nam, stroili sobie żarciki z naszego ubrania (przeważnie oberwani), z naszej pracy, a przede wszystkim z tego, że jesteśmy Żydami, i cudnie się bawili, jak SS z pejczem nas poganiał.

Nie pozostało nam nic innego, jak pomiatani, obrzucani ciężkimi kamieniami, głodni, pracować aż do godz. 13-tej, do przerwy obiadowej. Po godzinnej przerwie, podczas której dostaliśmy 200 gr[amów] chleba i zupę wodnistą, pracowaliśmy dalej aż do wieczora. Wieczorem po pracy dostawaliśmy już od Gminy 300 gr[amów] chleba i wracaliśmy do domu.

Następnego dnia rano udałem się do Dyrektora i tam przypadkowo spotkałem pielęgniarkę ze szpitala na „Umschlagu". Gdy się dowiedziała moje nazwisko, przybiegła do mnie z wiadomością, że na „Umschlagu" znajdują się dwoje dzieci z jakąś Panią i błagają wujaszka doktora o pomoc.

Uderzyło to we mnie jak piorun, straciłem zupełnie rozsądek, biegałem z miejsca na miejsce i zadawałem sobie pytanie, co robić. Chociaż żyłem w ostatnich dniach z tą obawą, że w każdej chwili otrzymam taką wiadomość, a jednak uderzyło to we mnie przeraźliwie. Koledzy wokoło pocieszali mnie i radzili. Ja zresztą nie mogłem pojąć, co mówili do mnie, tylko zwracałem się do sąsiadów, żeby mi pożyczyli dokumenty, to udam się na „Umschlag" i spróbuję ich wyciągnąć. Nie mogłem zresztą zrozumieć, skąd się dzieci tam wzięły bez Ewy. Z wyjaśnień tej pielęgniarki wynikało, że dzieci są tam z ich wychowawczynią.

Gdzie jest Ewa, co jest z Dziutkiem[32]? Nie mogłem znaleźć odpowiedzi na te pytania. W takiej to sytuacji podszedł do mnie kol[ega] Makower[33] i powiedział

[32] Dziutek, szwagier autora, mąż Ewy.

[33] Dr Henryk Makower, ur. 1904 w Kaliszu; przed wojną ukończył medycynę na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, do wybuchu wojny pracował w Łodzi jako lekarz internista;

mi, że znajduje się w podobnej sytuacji, bo i jemu dzieci siostry zabrali, i udaje się na Umschlag ratować je, i jednocześnie zabierze i nasze dzieci. Mnie on nie pozwala pójść, bo mało mam szans, żeby dzieci wydostać, a sam zginę. On jako lekarz policyjny w mundurze ma możność przechodzenia przez wachy SS, żandarmerii i zrobi wszystko, co można. Wziął u mnie dokumenty dla wychowawczyni i pojechał wozem szpitalnym. A ja zostałem i… czekałem. Przechodzą godzina za godziną, a kolega M[akower] nie wraca. Już się ściemniło, gdy zajechał samochód i po wyglądzie kolegi M[akowera] poznałem prawdę… Dzieci stracone.

Że nie szalałem i że jeszcze pojmowałem, co do mnie mówił, to chyba dlatego, że sądzone mi i nam jeszcze więcej cierpieć.

A więc przybył M[akower] na Umschlag i w końcu po długich poszukiwaniach odszukał swoje i nasze dzieci. Uradowały się, że wujaszek przysyła pomoc i że będą mogły wydostać się z tego piekła. Płakały z radości, że wrócą do Mamusi i swoich. Udało mu się załadować dzieci na wóz szpitalny, pannę Ewę z nimi, i jechali do bramy, gdzie stała Żyd[owska] Sł[użba] Porz[ądkowa], która przepuściła. Po interwencji w żandarmerii, że na wozie znajduje się służba szpitalna, która wraca z dyżuru (dzieci były pochowane pod plandeki), przejechali szczęśliwie przez bramę. Zdawało się, że już ocaleją. Gdy wtem nadchodzi grupa SS i ci zaglądają do wozu. Znajdują dzieci i pejczami biją starszych, którzy osłaniają dzieci przed tymi zbirami. Kopią swoimi buciorami biedne, przerażone nasze dzieci i nakazują zawrócić na Umschlag z bestialskim okrzykiem: „solches Dreck und Scheiss[34]", szybko załadować i żeby śladu nie pozostało po tym gównie żydowskim. Tak te łotry mówili o naszych cudnych dzieciach, o Elżuni i Zosi, tak kochanych przez nas[35].

---

w getcie warszawskim został ordynatorem oddziału zakaźnego w szpitalu dla dzieci im. Bersohnów i Baumanów, wykładał na kursach medycznych, pełnił też funkcję lekarza Służby Porządkowej, mieszkał przy ul. Żelaznej 58. Po akcji styczniowej wraz z żoną lekarką przeszedł na stronę aryjską i ukrywał się w Miłosnej pod Warszawą, gdzie napisał pamiętnik z getta. Po wojnie związał się z Uniwersytetem Wrocławskim, tam uzyskał habilitację, kierował Zakładem Wirusologii Instytutu Immunologii i Terapii Doświadczalnej PAN. Zmarł we Wrocławiu w 1964 r.

[34] Solches Dreck und Scheiss (niem.) – Taki brud i gówno.

[35] Henryk Makower wspomina: „W sobotę już o 5.30 rano byłem w szpitalu [na Umschlagplatzu]. […] Dla dzieci miał być wóz później. Siostra R. ustaliła ze Szmerlingiem, żeby pozwolił wypuścić sześcioro dzieci. Tymczasem z wozem zaczęły się dziać niesamowite rzeczy. Oprócz tej gromadki dzieci, która była na liście, m.in. dwoje dzieci kolegi mojej Emy, zaczęła się tam pchać masa ludzi, również i dorosłych. […] Po dłuższym czasie wóz nareszcie ruszył, ale przejechał tylko mały kawałek. Było tam więcej osób aniżeli ilość pieniędzy, które za nich otrzymał Szmerling. […] Kazałem woźnicy jechać. […] Wóz ruszył, ja obok. Gdy dojeżdżał już do zakrętu prowadzącego do wylotu, nagle nadjechał motocykl z jakimś SS-owcem ubranym w skórzaną kurtkę. Spojrzał na wóz i na ułożoną w nim dzieciarnię i krzyknął: «Nieder mit dem Scheiss» [niem. Precz z tym gównem]. […] Dzieci zeszły z wozu" (Henryk Makower. *Pamiętnik z getta warszawskiego, październik 1940–styczeń 1943*, Wrocław: Ossolineum, 1987, s. 132–133.

Jeszcze w czasie opowiadania przyjechała nasza sanitarka pusta, bo już odbywa się ładowanie do wagonów, więc już dziś więcej nie można było nikogo ratować.

Straszne, straszne, straszne i za co takie niewinne dzieci mają ginąć, i to w taki haniebny sposób, i to ma być wiek kultury, XX wiek.

Cios, jaki otrzymałem tą wiadomością i tą rozpaczliwą próbą ratunku, nie był ostatni. Zresztą nie przestawaliśmy ani przez chwilę myśleć o pozostałych naszych, szczególnie Hela rozpaczała, że nie ma wiadomości od Irki i jej rodziców, ja z trudem, sam złamany przeżyciami dotychczasowymi i niepokojem o Mamę, Ewę, Ankę ze Stasiem i Frankę ze Sawkiem, starałem się ją pocieszyć, ale sam nie wierząc w to, co mówiłem, zrezygnowałem z rozmowy.

Leżeliśmy więc, nie śpiąc całą noc, tylko co pewien czas Hela wybuchała tłumionym szlochem.

Tak nadszedł poranek. Jak dnia poprzedniego szykowałem się do udania się do Dyrektora, żeby zebrać wiadomości o „Umschlagu". Wtem drzwi się otwierają i wpada… Ewa. Widok jej był tak straszny, ze zrazu nie mogłem uwierzyć, by moja siostra tak wyglądała. Zdaje się, że nikt nie potrafiłby opisać tak wstrząsającego obrazu, włosy rozpuszczone, oczy błędne, ubranie zaniedbane, a wargi stale poruszały się cichym szeptem, ledwie dosłyszalnym: „oddajcie mi moje dzieci… mamusiu".

Głośniej tylko krzyknęła, gdy wpadła, i to ochrypłym głosem od ciągłego płaczu: „Heniek, zabrali mi dzieci, i mamę. Już ich nie zobaczę, mojej Zośki i Elżuni. Ratuj mi ich. Ty to zrobisz, prawda".

Więc i Mamę już tracę, naszą anielską Matkę, którą siłą prawie chowaliśmy na terenie szpitala św. Ducha. Chciała sama się oddać w ręce zbrodniarzy niemieckich, po to tylko, żeby nam kłopotu nie robić i nas nie narażać. Ta najdroższa nam osoba, której całe życie było poświęceniem dla dzieci, początkowo, gdy jeszcze byliśmy ekonomicznie zależni, wszystkiego sobie z ojcem odmawiała, byleby dla nas, dzieci, niczego nie brakowało. Ojciec, umierając na tyfus plamisty, w ostatniej chwili świadomości powiedział, że schodzi ze świata spokojny, bo wie, że dzieci jego kochają i zaopiekują się naszą matką. A teraz tracimy ją, i w jaki straszny sposób.

Ewa tymczasem półsłówkami przerywanymi przez szloch opowiedziała nam swoją historię i Mamy z dziećmi. Gdy myśmy ostatni raz widzieli się z Mamą, była przy niej Anka ze Stasiem. Było to na ruinach szpit[ala] św. Ducha[36]. Zdecydowałem wtedy, że my z Helą idziemy ze szpitalem, a Anka z Mamą i Stasiem udają się razem z rodzicami Heli na Kupiecką 8 do ich domu, gdzie jest jakiś dobry schowek. Po selekcji, gdy zostaną przy życiu, to ich stamtąd zwolnimy.

Tymczasem Anka zmieniła plan za namową znajomych, pracujących u […] a mianowicie wierzyła, że jej ze Stasiem dadzą numerek życia, więc uda się do bloku na Miłą i stanie do selekcji. Mamę zaś zaprowadzi do Ewy, bo Ewa wspo-

[36] Ul. Elektoralna 12.

minała, że mają pod ich apteką (Smocza róg Niskiej) ukrytą piwniczkę, gdzie się będą chować, i że tam kto chce, może przyjść.

I tak zrobiła. Mamę Ewa przyjęła, chociaż jej towarzysze zrobili b[ardzo] poważne trudności, bo już piwniczka była przepełniona. Ale w końcu Mama, już i tak fizycznie złamana, bo od 6 tygodni ukrywała się w lochu, nie śpiąc i nie jedząc, tyle tylko, że my raz dziennie mogliśmy nad ranem zanieść trochę gorącej zupy, teraz złamało ją to wszystko i psychicznie – świadomość, że wszyscy patrzą na nią krzywo, bo zajmuje miejsce młodym, strach o nas, o swoje dzieci, wnuki, to wszystko ja zmaltretowało, że podobno tylko w kącie siedziała i cicho płakała. Ewa jak mogła, tak się opiekowała, ale Ewa była prawie przez cały dzień zajęta w aptece, bo farmaceuci chcieli wykazać, że pracują, i jeszcze wierzyli, że jak ich zostawią przy pracy, to im pozwolą żyć.

Dzieci zaś farmaceutów, wśród nich i Ewy, zostały schowane na III piętrze w schowku pod oknem, doskonale zakrytym, z nimi panna Ewa. I tak przeszli jedni blokadę, drugą, i w końcu rozpoczęła się trzecia, tj. ostatniego dnia selekcji, kiedy już zgarniano resztę. Blokada była prowadzona przez niezwykle liczną i silną grupę SS, Ukraińców i Żyd[owską] Sł[użbę] Porz[ądkową].

Farmaceuci z apteki już wiedzieli, że selekcja ich skazała na śmierć, bo ci, którzy przeprowadzali, byli w Gminie na Gęsiej i tam przede wszystkim swoich i tam obecnych wstawili na listę, a apteki nie zawiadomili. Postanowili więc już się chować stale, tylko jeden zostawał na zewnątrz, żeby informować resztę, czy się blokada zbliża.

W czasie tej III blokady na zewnątrz został jeden, który stale podejrzanie się zachowywał w stosunku do swoich kolegów, groził im, że wyda ich w ręce gestapo, a z wiadomości fachowych wynikało, że nigdy farmaceutą nie był i że prawdopodobnie odgrywa u nich rolę gestapowca.

Tego dnia ten został na zewnątrz, oni wierzyli mu, że ich nie wyda, bo razem z nimi w piwnicy chował się ktoś z jego rodziny, a zresztą byli zdani na łaskę i niełaskę jego, bo u drzwi apteki ciągnął się łańcuch SS-owców.

Rozpoczęła się blokada i… wpierw wpadli w ręce zbirów niemieckich dzieci, bo na parterze pod oknem była taka sama kryjówka jak na III piętrze i tam ktoś, uciekając przed Niemcami, schował się, ale SS zauważyli, jak już zasuwał deski, i szli już od piętra i szukali takich schowków.

Oczywiście pobili dzieci i p. Ewę, słychać było krzyki i płacz dzieci, zresztą przez cały czas były płacze, spazmy, strzały i jęki zabijanych i męczonych ludzi. Potem słyszeli, jak się dobijają do apteki i głosy rozmawiających SS z dyżurującym „kolegą" i krzyki i… odsuwanie bufetu, który zakrywał klapę, którą schodziło się do piwniczki i… wyciąganie ofiar.

Nie mogę pisać, bo myśl, co moja Mama przecierpiała, jest straszna. Mamę wyciągnęli za włosy, kopiąc ją butami, bijąc pejczem po twarzy, po ciele, po brzuchu, po głowie, a nasza Mama tylko cicho płakała i jęczała. Ewa nawet nie mogła jej osłonić, bo już była oddzielona całym kordonem SS i Ukraińców. Widziała tylko mękę naszej Matki i śmiech Niemców.

Obyście byli przeklęci na wieki.

Dzieci swoich już więcej nie zobaczyli, bo od razu po wyciągnięciu ze schowka odtransportowano na „Umschlag", bo już były olbrzymie grupy złapanych. W końcu i Ewę mieli odprowadzić, tylko akurat przyszedł oficer Sł[użby] Porz[ądkowej] Żyd[owskiej], który stale kupował lekarstwa w ich aptece i znał szczęśliwie Ewę, więc starał się interweniować u Ober SS, żeby ich zwolnić, ale daremnie, ale za to, gdy wyprowadzano grupę z podwórka na ulicę, urządził to tak za poprzednią umową, że prawie cała grupa farmaceutów uciekła i pochowali się, aż wszyscy SS i Ukraińcy odeszli. Zresztą całą tyralierę SS następnego dnia zdjęli, bo już oczyszczanie od Żydów zakończyło się, i Ewa przybiegła do nas.

Dziutek siedzi u szczotkarzy, tam ma nadzieję, że go wyreklamują, bo Dyrektorem jest jego dobry znajomy. O dzieciach nic jeszcze nie wie. Musieliśmy zakończyć tę naszą tragiczną rozmowę, bo już zbliżała się godz. 8-ma rano i możliwość nowych blokad, więc Ewa musiała wracać do swojej nory, a ja zerwałem się, żeby biec ratować.

Udałem się przede wszystkim do Dyrekcji i tam dowiedziałem się, że na Umschlagu są już ostatnie grupy Żydów, czekających na odejście ostatniego transportu wagonów. Sanitarka nasza po raz ostatni rano wyjechała i już jej nie wpuścili na teren szpitala. Zdołali tylko dowiedzieć się, że SS-owcy objęli sami straż i wywożą szpital, tzn. likwidują wszystkich znajdujących się tam. Ciężko chorych na noszach wnoszą Żydzi do wagonów i to robi służba szpitalna pod razami pejczów, i jak tylko kończą wnoszenie chorych, to i służbę wrzucają do wagonów.

Wśród zebranych lekarzy w pokoju Dyrektora panuje rozpacz, bo należy się spodziewać likwidacji i lekarzy tam będących, tym bardziej że SS hulają tam, mordują, biją wszystkich bez wyjątku, nie oszczędzając nawet dotychczas im pomagających Ż[ydowskiej] Sł[użby] Porz[ądkowej].

W takiej to chwili ja opowiedziałem, że wybieram się na Umschlag ratować matkę. Wszyscy rzucili się na mnie jak na wariata, że idę sam na śmierć, że bezcelowe, bo już wszystkich wywieźli, zresztą sam zginę, zanim dojdę do Umschlagu. Nie słuchałem ich, prosiłem tylko o fartuch biały, żeby ubrać matkę w niego i w biały czepek i może wyprowadzić jako pielęgniarkę. Dzieci, jeżeli znajdę, może mi się uda wpakować do jakiegoś schowka w szpitalu i później uratować. Któraś z pielęgniarek, która akurat nadeszła, opowiedziała mi, że wczoraj będąc na Umschlagu, Mama moja błagała ją, żeby oddała mi ostatnie pozdrowienie.

Zakręciło mi się w głowie, wziąłem od niej jej legitymację piele[gniarską], inne dały mi fartuch i czepek i poszedłem. Przed bramą akurat stał wóz z transferu, gdzie Sawek pracował, i prosiłem ich, żeby zawiadomili go, że Mama została złapana i żeby ją ratował. Oni też od razu pojechali. Gdy szedłem jeszcze Pawią, przyłączył się do mnie mój kolega dr Finkelsztajn[37], któremu też schwytali rodziców i też szedł na… Umschlag.

[37] Lejb Leon Finkielsztejn, ur. 1911, lekarz internista, przed wojną pracował w szpitalu Poznańskich w Łodzi. W czasie okupacji znalazł się w getcie warszawskim, gdzie zginął.

Jeszcze w ostatniej chwili zawiadomiła nas kierowniczka grupy sanitarnej, która wybierała się na Umschlag niby dla zmiany personelu, a w rzeczywistości może uda się jej wyratować jeszcze kilka osób w ostatniej chwili. Liczyła ona, że uda jej się uzyskać zezwolenie na wejście i wyjście z Umschlagu, tym bardziej że miała poparcie komendanta Sł[użby] Porz[ądkowej], któremu uratowała rodziców, wyprowadzając ich.

Nie pamiętam jej nazwiska, ale niech będzie błogosławiona jej pamięć za to, że ratowała dziesiątki ludzi, dzieci i starców, zawsze sama się narażając, że ją SS odkryją w tej czynności. Otóż ona mi powiedziała w ostatniej chwili, że jeśli będę na Umschlagu, to żebym się przyłączył do jej grupy, to uda mi się wyjść. I poszliśmy. Od Pawiej do Gęsiej stały już posterunki Ukraińców i SS. Ci przepuścili nas, gdyśmy powiedzieli, że idziemy ochotniczo na „wysiedlenie". Poza Niemcami i Ukraińcami ani żywej duszy, tylko widok przerażający. Po raz pierwszy zrozumiałem i widziałem, co to znaczy wyrażenie „ziemia nasiąkła krwią". Chyba ci, którzy takich wyrażeń używają, nie widzieli nic podobnego: cała droga przy ślicznej, słonecznej pogodzie, usiana kałużami dosłownie krwi. W rynsztokach płynęła krew zmieszana z piaskiem, gdzieniegdzie już krzepła. I to wszystko krew żydowska. Zwłok przy takiej ilości rozlanej krwi stosunkowo mało, bo oprawcy ci, nie znosząc przykrych widoków, prowadzili ze sobą grupy cmentarników, którzy mieli obowiązek od razu po zastrzeleniu lub skatowaniu uprzątnąć zwłoki.

Widocznie obfita i długa była to robota, bo przy takiej liczbie grabarzy z wozami jeszcze leżały zwłoki. Zresztą krew świadczyła o tym.

Po drodze w tym samym kierunku szło 2-ch młodych ludzi w fartuchach z oznakami Czerwonego Krzyża i prowadzących nosze na kółkach.

Zdziwieni naszym widokiem, zwrócili się do nas, i gdy się dowiedzieli, o co chodzi, przyłączyli nas do wózka, niby jako obsługa lekarska, ale i oni zaznaczyli nam, że wejść na Umschlag to łatwo się zrobi, ale wydostać się, to nas zapewniają, iż mało szans mamy.

Ale i te uprzedzenia nie odstraszyły nas. Szliśmy dalej. Przeszliśmy w końcu wachę przy wejściu i znaleźliśmy się w… piekle. Prócz wzmocnionej wachy z żandarmów stały całe grupy Żyd[owskiej] Sł[użby] Porz[ądkowej], która utrzymywała porządek w masie ludzkiej. Trzymała się ona oczywiście przezornie poza tłumami, tzn. poza drutami, gdyż w tym czasie już być członkiem Sł[użby] Porz[ądkowej] było niebezpiecznie. Ginący Żydzi, nie mając możności wyrównać rachunki z bestiami niemieckimi, przynajmniej na sługusach hitlerowskich wśród Żydów wylewali swoje uczucie nienawiści.

Przy jednym stoliku na placu przed wejściem do ogrodzonej części na miękkim [krześle] siedział sobie smutnej pamięci główny komendant Sł[użby] Porz[ądkowej][38], otoczony bandą swoich oficerów. Znałem go osobiście, bo w szpi-

[38] Mieczysław Szmerling, oficer policji żydowskiej, w czasie akcji wysiedleńczej był komendantem Umschlagplatzu. Powszechnie znienawidzony, brutalny, okrutny i przekupny.

talu na Lesznie, gdy wyłapywano starszych ludzi, umieścił swoich rodziców jako chorych i ja właśnie nimi się opiekowałem.

Zwróciłem się do niego, myśląc, że mam do czynienia z człowiekiem, żeby mi ułatwił uratowanie Matki mojej, to zn[aczy], że jak znajdę ją, żeby mi nie przeszkadzał w wyprowadzeniu. Z Niemcami sam będę pertraktował. Na to ten zbój odpowiedział mi, że nie ma mowy o ratowaniu kogoś, bo on odpowiada głową za to, zresztą, on sam też stracił swoich rodziców (widocznie przy rozwiązaniu szpitala na Lesznie Niemcy zamordowali wśród innych starszych ludzi i jego rodziców). Zrozumiałem, że z tej strony nie mam na co liczyć i że szkoda czasu, bo i on z łaskawości dla mnie – lekarza, zdradził urzędową tajemnicę, że zaraz SS przyjedzie likwidować cały szpital. Wstąpiłem poza druty. Straszne. Trudno było przedostać się między natłoczonymi ludźmi. Na ogół byli to ludzie dostatnio ubrani, o wyglądzie inteligentnych ludzi, bo był to wynik połowu wśród inteligencji – farmaceuci, lekarze, urzędnicy i inni fachowcy z fabryk niem[ieckich]. Panowała też cisza – jak na taką masę ludzi – niesamowita, każdy chyba podświadomie przygotowywał się w duchu na śmierć, bo ci ludzie wiedzieli już z pewnością, na co idą.

Słychać było tylko płacz dzieci, uspokajany przez matki, lub jeżeli już matek nie miały, to przez obcych. Ten niesamowity tragizm tego placu, jedynego zresztą w historii ludzkości, podziałał i na mnie, pomimo że żyłem tylko jedną myślą – odnalezienia matki, a może dzieci.

Gdy przechodziłem tak między tymi ludźmi, nie płacząc tylko dlatego, że i oni nie płakali, stale powtarzałem sobie półgłosem jedno słowo: za co, za co, za co. W pewnej chwili jakaś mała dziewczynka, widząc mnie w białym fartuchu z opaską lekarską, przybiegła [do] mnie prosić o pomoc dla chorej matki. Poszedłem z nią. Matka jej mdlała z osłabienia, wyczerpania, a przede wszystkim chyba z obawy przed śmiercią nie swoją, tylko córeczki. Pytała mi się: panie doktorze, czy zabiją mi dziecko? Odpowiedziałem i uciekłem, żeby nie słyszeć jej dalszych pytań.

Spotykałem prawie na każdym kroku znajomych i przyjaciół. Niektórzy tylko z daleka do mnie kiwali głowami, inni podchodzili i pytali się, czy mogę im pomóc. Ja też pytałem się o informacje co do mojej Mamy. Pomagali mi szukać wśród tej masy ludzi. Wpadłem w końcu na grupę Goblów-Montlików [z] mojej rodziny – kuzyni.

Ci, tzn. on z synem 12-letnim, cudnym chłopaczkiem, opowiedział mi, że ma możność wydostać się na placówkę, ale pójdą tylko w tym wypadku, jeżeli uda im się również uratować żonę i matkę. Gdy dowiedzieli się, po co tu sam przyszedłem, wszyscy się rozbiegli i w końcu wobec nieznalezienia na placu postanowiłem przedostać się do środka budynku. Ale zastanawiałem się, bo o ile na placu mogłem liczyć na pomoc Sł[użby] Porz[ądkowej], żeby mnie wyprowadziła, to z budynku zamkniętego nikt się nie mógł wydostać, bo drzwi zamknięte.

ŻOB wydała na niego wyrok śmierci, ale próba zamachu na jego życie w sierpniu 1942 r. zakończyła się niepowodzeniem.

Udało mi się wezwać klucznika i na usilne prośby wpuścił mnie tam. Znowu tam masa znajomych, a wśród nich spotkałem Paleja, członka Sł[użby] Porz[ądkowej], naszego administratora. Zresztą już widziałem wielu ze Sł[użby] Porz[ądkowej], ale już jako materiał do ładowania do wagonów.

Ten mi powiedział, że przychodzę za późno, bo moją najdroższą Mamę jeszcze wczoraj załadowano do wagonu i [dodał] „na pocieszenie", że poszła w towarzystwie jego Matki, że przynajmniej nie była samotna. Stale do ostatniej chwili płakała, że nie może się zobaczyć ze swoim synem. Wierzyła, że jeszcze z wagonu ją syn uratuje.

Moja biedna Matka była pobita. Za co tyle cierpiała? Przez całe życie nikomu krzywdy nie wyrządziła, nawet muchom, nam, dzieciom, nie pozwalała krzywdy zrobić, a takie bestie niemieckie tak się znęcały nad Nią.

Nie mogłem więcej słuchać, zresztą Palej zrozumiał, że w tym stanie, w jakim się znalazłem po dowiedzeniu się, że już Matki nie mam, nie będę zdolny do żadnego wysiłku, żeby się wydostać z tego piekła, odprowadził mnie do drzwi i na szczęście klucznik mnie poznał i wypuścił. Na odejściu Palej mi nakazał się ratować, bo już i dzieci nie ma, bo jeszcze dzień przed Matką zostały zabrane stąd. Palej zginął, ale zachował się jako przyjaciel naszej rodziny.

Na placu już nikogo nie poznawałem, zresztą już się znajomi dowiedzieli o wyniku moich poszukiwań i już nie podchodzili do mnie.

Dr. Finkelsztajna spotkałem i ten mi powiedział, że spotkał swoich rodziców i razem z nimi stanął w szeregu grupy pracowników szpitalnych, która szykowała się do opuszczenia terenu.

Ja zaś nieprzytomnie stanąłem sobie na uboczu i byłbym zginął, gdyby nie siostra[39] – kierowniczka grupy sanit[arnej], która po mnie przyszła na plac, i gdy dowiedziała się od głównego komendanta Sł[użby] Porz[ądkowej], że będą likwidować szpital, od razu postanowiła wracać. Przypomniała sobie mnie i rozesłała swoje sanitariuszki, które mnie przyprowadziły do niej, i w grupie kilku osób za specjalną przepustką wyprowadzono nas. Jeszcze do dziś słyszę głos ludzi wołających za nami… „ratujcie nas", szczególnie błagania Mentlika, ale cóż, kiedy byliśmy bezsilni. Grupa uszeregowana ze szpitala, która miała wyjść z nami, już nie zdążyła, bo zajechało SS, i wszyscy włącznie z lekarzami i z dr. Finkelsztajnem zginęli.

* * *

Zaczął się dla nas, tzn. dla tych „z prawem do życia", okres ciężkiego, beznadziejnego życia. Musieliśmy na rozkaz Niemców organizować nowy szpital, tzn.

[39] Prawdopodobnie siostra Fryd, przełożona pielęgniarek w szpitalu na Czystem, następnie na Gęsiej. Wywieziona do Treblinki 18 I 1943 r. w czasie selekcji szpitala. W czasie akcji „kotła" miała ona prawo poruszać się służbową karetką między Umschlagplatzem a gettem; wywiozła ze szpitala na Umschlagplatzu rocznego synka dr. Wallera (AYV, O3.2358, Relacja Stanisława Wallera).

przewozić już zdaje się po raz 5-ty łóżka, urządzenia, maszyny itp. do nowego gmachu.

Oczywiście część została zniszczona przez transport, ale główna część została w międzyczasie rozrabowana przez Polaków, bo mieliśmy prawo przewieźć te rzeczy tylko przez transport polski. Osobiście przy przewożeniu naszych prywatnych rzeczy byliśmy świadkami naigrywań się, żartów, no i zwykłego szantażu ze strony polskich woźniców. Bronić się nam nie wolno było, bo mógł taki podejść do eskortującego SS i powiedzieć, że obraziłem Aryjczyka, co równe było w najlepszym wypadku ciężkiemu pobiciu przez SS przy współudziale woźnicy Polaka, jak to zresztą nierzadko się zdarzało. Polacy, z którymi wtedy spotykaliśmy się, na ogół odgrywali podobną rolę w stosunku do tak zmaltretowanych Żydów.

Jeden jedyny raz spotkałem się z ludzkim żalem u jednego starego furmana, który oburzał się na te barbarzyństwo. Zaznaczam, że ci Polacy, obracając się w getcie, byli bezpośrednimi obserwatorami tych zbrodni, więc mogli to osobiście odczuć, a jednak prawie u każdego można było słyszeć takie „pocieszenie". I tak przecież was wybiją do ostatniego, więc lepiej niech to… (marynarka, zegarek, aparat itp.)… wpadnie w ręce nasze niż niemieckie. Tak chyba hiena pociesza swoją ofiarę dogorywającą.

Przypominam sobie, że któregoś dnia przy cudownej pogodzie słonecznej, tak w połowie września, pojechaliśmy wozem na plac Gminy, tzn. tam, gdzie się odbywała ta słynna selekcja. Mieliśmy tam…

* * *

21 IV

Hela przypomina, że zeszłego roku w nocy z 17 na 18 kwietnia odbyła się masakra tych 80 ludzi, między nimi jej wuj.

Wieczorem Andrzej[40] wrócił i powiada, że nad Gettem łuna pożarów. Gdy się ściemniło, wyjrzałem. Faktycznie olbrzymi pożar z wielkimi kłębami dymu, ale nad dachami, prawdopodobnie gdzieś na Pradze. Jedyna pocieszająca wiadomość to atak na Noworosyjsk[41] (prawdopodobnie Niemcy dostają lanie, zresztą okaże się). W każdym bądź razie zapowiada to aktywność na wiosnę.

23 IV

Dziś przez cały dzień Hela płacze. Nie mamy żadnych wiadomości z getta od jej rodziców. Po trochu przypomina mi, że byłem często niesprawiedliwy w stosunku do teściów. Teraz z perspektywy czasu przyznaję jej częściowo rację, ale nie zapominajmy, w jakich warunkach nerwowych to się odbywało.

---

[40] Andrzej Hanke, syn Romany.

[41] Noworosyjsk – port nad Morzem Czarnym. Artykuł pt. *Ożywiona działalność bojowa pod Noworosyjskiem* ukazał się na pierwszej stronie „Nowego Kuriera Warszawskiego" z 20 IV 1943 r. (nr 94).

Wiadomości o getcie plotkarskie: Żydzi wzięli tam do niewoli 1000 Niemców i Ukraińców, wypuścili z Pawiaka więźniów, którzy razem z nimi walczą, jeńcy bolszewiccy przyłączyli się itp.

Jedyna, niestety prawdziwa, która mi przedstawia tragizm niezmierny tej sytuacji: Ukraińcy – ci kaci biorą udział, i druga wiadomość – już jeden pociąg wyjechał ze „starszymi Żydami, którzy się dobrowolnie poddali".

Politycznie nic się nie dzieje, nawet i z tej strony oni tam żadnego pocieszenia nie mają. Och, jak strasznie czarno!

* * *

1 XII

Wychodzę właśnie z lochu. Alarm zrobił się dlatego, że na rogu zatrzymały się 2 budy, z których wysiedli żandarmi, i wszystko wyglądało na to, że zaczną szukać, jak ci zbóje mówią, „Banditen und Partisanen"[42]. Warunki, w jakich z Helą siedzieliśmy, są takie, że ciemnice w ciężkich więzieniach są luksusowe, a mianowicie: wysokość około 60 cm, tak że musieliśmy siedzieć skuleni w kuczki, oparcia nie było, więc z konieczności na wilgotnej ziemi brudnej. Oczywiście bez światła. W pewnej chwili, mniej więcej po godzinie siedzenia, Hela prosi mnie, żebym ją wypuścił, bo już nie może wytrzymać, a jednak siedzieliśmy około 3 godzin, aż p. R. przyszła. Ja postanowiłem zejść do piwnicy, a Hela poszła do domu.

Mam zamiar co dzień rano, jak jeszcze ciemno, zejść i wrócić do mieszkania wieczorem, by uniknąć takiej sytuacji, że w jasny dzień przechodzić przez ulicę, co oczywiście silnie zdenerwowało p. R. A przecież jej humor – to wpływ na moje życie.

Ciekawe jest tylko to, jak przyzwyczajenie staje się drugą naturą. W tak niebezpiecznej chwili, gdy byliśmy przekonani, że ci zbóje robią obławę, to jedno, że stale źle się czułem, bo nie byłem umyty ani uczesany. Toteż pierwszą czynnością w piwnicy – to się uczesałem, a teraz to co pewien czas robię 300 kroków, gdy mi nogi zbytnio zmarzną.

Na szczęście alarm okazał się fałszywy, bo aczkolwiek budy stały, ale tylko dlatego, że im się tam coś zepsuło, i po reperacji pojechały. Myśmy byli tak zdenerwowani, bo sytuacja na mieście jest niezwykle naprężona (jak na tutejsze stosunki) i Hela, będąc wczoraj u dentystki, dowiedziała się, że przed jej przybyciem cały tamten blok był blokowany.

Rozumie się, jak ta wiadomość na nas podziałała, bo dotychczas myśleliśmy, że tylko na ulicy łapią. Poza tem opowiedzieli jej, że aresztowali dyrektorów różnych instytucji i magistratu, elektrowni, gazowni itp., co wywołało świeżą panikę, bo Polacy nie wiedzą, co za tym idzie. Jednym słowem stosują tą samą metodę co u nas, stopniowego wzmacniania terroru. A tu z wojną idzie b[ardzo] powoli.

[42] Banditen und Partisanen (niem.) – bandyci i partyzanci.

3 XII

Jeszcze wczoraj siedziałem w piwnicy, gdzie pół dnia zeszło mi na planowaniu i na rozpoczęciu schowka. Będąc tak sam, coraz to inne obrazy z ubiegłych przeżyć powstawały w głowie, jak w kalejdoskopie, wywołując coraz to nowy ból i bezsilność. Zresztą wściekłość na oprawców niemieckich i ich sprzymierzeńców.

Dziś zostałem w domu. Nie chciało mi się marznąć, a głównie mi dokuczała samotność, no i… myszy. W nocy prawie że nie spałem, bo coraz to inne schowki mi się majaczyły, i przede wszystkim co kilka chwil gwałtownie się budziłem, bo z powodu jakichś szmerów zdawało mi się, że oprawcy jadą. Tak zresztą bywa stale, w dzień, wieczorem i w nocy.

Dziś rano nagle dopadł mnie taki straszny ból duchowy, że chciało mi się rwać z siebie ubranie, wyrywać sobie włosy, bo w związku z włożeniem butów Sawka przypomniałem go sobie. Nie mogę uwierzyć, że go już nigdy nie zobaczę, tego kochanego, cudnego o anielskiej dobroci chłopca – i takich to ludzi oni zamordowali.

Szczególnie go pokochałem w ostatnich dniach przed wyjściem z getta.

* * *

Hela z Ewą przeszły na drugą stronę. Od razu jak odsunąłem się od drabiny, po której one przeszły, uczułem jakby pewną ulgę, że w końcu zdobyłem się na krok ku ocaleniu.

Noc była czarna, deszcz padał i wielkie kałuże błota z wszystkich gruzów przeszkadzały nam się poruszać. Teść płakał po cichu i zdaje mi się, że odmawiał słowa modlitwy na intencję ocalenia Heli. Pod pozorem trudności w chodzeniu wziął mnie pod rękę i tak szliśmy cicho do domu.

W mieszkaniu zimno, smutno i straszna cisza. Nie mogąc jeść, położyłem się spać. Rano dopiero uczułem brak Heli, ale gdy zobaczyłem przez okno dyżurujących, czy Niemcy nie idą, wróciło uczucie strachu przed blokadą (śmiercią). Szybko się ubrałem (stale człowiek myślał, że przez te kilka minut straconych na ubranie, mycie czy inną czynność zginie, gdyż spóźni się zejść na podwórze, a tymczasem Niemcy zaskoczą).

Na podwórzu, jak zawsze, wszyscy byli i stale te same rozmowy i pytania: czy spokojnie, czy placówki przeszły (bo gdy mordercy urządzali blokady, to na wylotach żandarmi nie wypuszczali chłopaków idących do pracy, żeby i te ofiary nie wymknęły im się).

To też był pierwszy objaw – zbliżającej się blokady śmierci.

No i stale pytanie: co będzie. To, że wszyscy już byliśmy pewni, że idziemy na śmierć, to ta świadomość wystąpiła nawet już u nielicznej garstki optymistów „pomimo wszystko" od chwili, gdy w styczniu w blokadzie wzięli około 6000–8000 ludzi, dużą część na miejscu rozstrzelali. Od tej chwili wszyscy się załamali, byliśmy już oszalałą ze strachu grupą zwierząt – ludzi, których wszystkie myśli

i wszystkie poczynania szły tylko w jednym kierunku: co zrobić, żeby się ocalić (przynajmniej chwilowo).

… rozmowy w szpitalu: Ratner, Braude-Hellerowa, dr Markusfeld[43], Szpak[44].

Obiad i po obiedzie do Sawka, telefon od Heli, schowek u Sawka, praca ich, nocowałem u Anki i Fr[anki], rano jeszcze przed blokadą do domu na śniadanie. Pilnowanie rzeczy na strychu. Dr Goldsztejn[45].

Rozmowy i plany Erlicha[46].

Praca w szpitalu. Rozprzężenie.

Koło głośnika – strzelanie.

Zagadnienie u Sawka: schowek czy na drugą stronę.

Decyzja. Szukanie sposobu przejścia.

Trudności: pieniądze, rewizje itp.

Opieka Sawka.

Epidemia schowków. Polska policja a schrony.

* * *

13 XII

„Wesołe" życie spędzamy. Nie ma co mówić. Oto np. wczorajszy dzień. Niedziela. Wstaliśmy rano, to przywitała nas codzienna kłótnia z wymyślaniami I kategorii. Oczywiście, że my w takiej sytuacji czujemy się nadzwyczaj nieprzyjemnie. Następnie przyszedł „brat" Mietek, a my musieliśmy posiedzieć sobie w szafie około 2 godzin. W końcu najprzyjemniejsza godzina dnia – obiad.

Nie zdążyliśmy zjeść pierwszych kilku łyżek – a oto siostra. W wielkim zdenerwowaniu kawałek mięsa niestrawionego utkwił mi w żołądku, a tu człowiek głodny jak wilk, i znowu do szafy.

Okazuje się, że przyszła, by się nauczyć na drutach. Andrzej sobie poszedł, a my zupełnie nieruchomo, bo jak się robi na drutach, to się ze sobą nie rozmawia, więc każdy szmer by nas zdradził. Szafa zamknięta szczelnie, głodni, i przy tym stojąc zupełnie nieruchomo, i tak upływa godzina, półtora i druga. Coraz gorzej się czuję, bo uczuwam brak powietrza, w pewnej chwili zaczyna mi występować zimny pot na czole, ból i szum w głowie, ciemno robi mi się w oczach i ostatnią świadomością czuję, że mdleję, i uświadamiam sobie konsekwencję: zdradzenie naszej obecności wobec siostry i co za tym idzie – prawdopodobnie śmierć, bo znaleźć nowe miejsce nie tak łatwo.

---

[43] Dr Stanisław Markusfeld, dermatolog, wenerolog, ordynator oddziału skórnego w szpitalu w getcie. Nie dostał we wrześniu 1942 r. „numerka na życie z powodu starszego już wieku. […] Dr Stein uważał, że starzy nie mają już po co tak pchać się do życia" (AYV, O3.2358, Relacja Stanisława Wallera).

[44] Prawdopodobnie Herszel Szpak, felczer.

[45] Prawdopodobnie dr Paweł Goldsztein (Goldstejn), chirurg.

[46] Prawdopodobnie dr Bernard Erlich, akuszer ginekolog.

Rwę sobie włosy na głowie, szczypię się, zacieram ręce ostatnią siłą woli, tak że Hela zwraca mi uwagę na zbyt głośny szmer. A tu siostra nic nie rozumie i prosi o wytłumaczenie jeszcze jakiegoś ściegu. Zaczynam się osuwać. Hela poznaje, co mi jest, gdy tu na szczęście siostra uznaje, że już dość ciemno, zapina palto i… wychodzi. Nie zdążyła jeszcze zamknąć drzwi na taras, gdy otwieram drzwi od szafy i siadam. Stopniowo wracam do przytomności.

Poza tym Andrzej raz obraził Helę i przy całej naszej tragicznej sytuacji nie mogłem wytrzymać i zwróciłem mu uwagę. Wieczorem, gdy wrócił z nieudanej randki, po raz drugi obraził mnie. A przecież nasze życie zależy od humorów tych ludzi – wesoło. Zastanawiamy się b[ardzo] często, czy warto tak uporczywie trzymać się życia.

Hela była na mieście i opowiadała mi o jej rozmowach. Jedna znajoma jej wytłumaczyła, dlaczego tylu Żydów zostaje złapanych.

Oto każdy, który doniesie o miejscu pobytu Żyda, dostaje za „łebek" górala. Toteż nic dziwnego, że jak tamta osoba powiedziała, że b[ardzo] wiele osób czerpie z tego utrzymanie, i duża część społeczeństwa nie pogardziłaby takim łatwym i niewinnym zarobkiem.

O tym wiedziałem, bo były plakaty, że daje się wynagrodzenie za dostarczenie Żyda.

Hela wróciła ze sklepiku wzruszona i jeszcze na progu powiedziała mi: Rozmawiałam, wyobraź sobie, z G. jak z Tobą. Po raz pierwszy spotykam się u Polaków z takim ujęciem sprawy. Oto G. w związku z łapankami teraźniejszymi powiada, że nikt nie potrafi tym barbarzyńcom niemieckim zapłacić za ich zbrodnie, jak tylko Rosjanie. Anglicy od razu zaczną z nimi handlować, a co ich zresztą inni obchodzą. Zresztą niech Pani zwróci uwagę na Żydów. Gdy tu żona chciała coś powiedzieć, to G. przerwał jej, mówiąc: no dobrze wiem, co pani powie. Zresztą jak wszyscy, że nie szkodzi, z Żydami mogli to zrobić i że nawet przydało się, ale niech Pani po ludzku rozważy tę sprawę. Co to za zbrodnia wymordować tyle naprawdę niewinnych ludzi i tyle tysięcy dzieci.

28 XII

Naprawdę, że życie nasze nie jest godne do pozazdroszczenia. Drżymy każdej chwili o nasze życie. Zdaje się, że każdej chwili otrzymamy polecenie pójścia sobie.

29 XII

W I-szy dzień Boż[ego] Nar[odzenia] przyjechała do nas Franka. Pierwsze wrażenie, jak otworzyła drzwi, to było, że widzę ojca. Szczególnie górna część twarzy: łuki brwiowe, oczy i nos, aż mi się gorąco zrobiło. Franka musiała wyjechać na święta, żeby pokazać, że ma jeszcze dokąd pójść. Jak my wszyscy, przeżywa i ona piekło. Jest tam szczególnie taki Edzio, szczeniak 22-letni, który kopie pod nią dołki i zatruwa jej i tak ciężkie życie. Pracuje ona tam u nich jako służąca, jako fornal, czarny robotnik – grabić las, robotnik – robi świeczki. Ciężko haruje,

kaleczy się, pot jej ścieka przy pracy, a to wszystko nic. Któregoś dnia przeszła już wszelkie granice, bo D. przyniosła jej zasrane kalesony Edzia do wyprania (Edzio ma żonę i matkę), na co ona nie zgodziła się. Wtedy Edzio, mimo że jej nie zapłacił za robotę świeczek (normalne u wszystkich wykorzystywanie Żydów), jeszcze ją obraził i powiedział: Pani powinna obsługiwać nie tylko mnie, ale sześciu takich jak ja, a to dlatego, że wie, że ona jest Żydówką.

Przy okazji Fr[anka] opowiedziała nam, jak tam polska policja zamordowała rodzinę żyd[owską]. Gdy ci ludzie chcieli się wykupić, to jeden policjant powiedział, że on będzie tępił do ostatniego. Tak pilnowali, że nawet 6-letnie dziecko nie zdołało ocalić się, aż przyjechała żandarmeria i wszystkich zamordowała.

Myśmy też kilka dni temu przeżyli ciężkie chwile. Myśleliśmy, że oto już koniec. Siedzieliśmy akurat przy obiedzie, gdy Hela nagle zobaczyła żand[armów]. Szło ich ok. 10-ciu, 2 z przodu, następnie po dwóch z każdej strony ulicy i w końcu kilku. Wszyscy z karabinami wymierzonymi do przodu i gotowymi do strzału.

Oczywiście, że wszystko w nas zamarło. Trwało to chwilę, gdy ostatni przeszedł przez furtkę. Wydawało się, że już ocaleliśmy, gdy nagle jeden idący na przedzie wystrzelił, a reszta nagle rzuciła się w bok naszego domu.

Widziałem twarze tych zbrodniarzy. Chyba tylko myśliwi na dzikie zwierzęta tak wyglądają, gdy zobaczą zwierza. Porwali się, twarze im rozradowały się. Okazało się, że ktoś idący im naprzeciwko ich zauważył i zdążył uciec. Tymczasem myśmy skorzystali i poszliśmy tam na 2 godziny.

Psychicznie czujemy się b[ardzo] źle. Oto już styczeń i żadnej nadziei na poprawę naszego losu: na froncie bez ważniejszych zmian. Anglicy i Amerykanie – nic. A u nas grunt pod nogami się pali. Franka jak wyjeżdżała, to powiedziała mi na pocieszenie, że ktoś z naszej rodziny ocaleje dzięki temu, że wszyscy oddzielnie mieszkamy, że ona liczy się z tym, że może Ewa z Dziutkiem pozostaną. Każdy dzień daje ofiary żyd[owskie] molochowi hitlero-polskiemu. Naprawdę, że się nie ma co dziwić, jak się jest między młotem hitlerowskim a kowadłem polskim.

Codziennie rano budzimy się ze smutnym uczuciem: co dziś będzie i co dalej. Tym bardziej że wewnętrzne nasze życie jest coraz mniej wesołe.

15 I

Chwała Bogu, przekroczyli wreszcie granicę. Oczywiście wśród Polaków wielkie zdenerwowanie. Szczególnie tych, którzy mają zbyt zabrudzone sumienie czy to przez współpracę z Niemcami, czy to mordowali lub obrabowywali Żydów, a tych jest b[ardzo] dużo.

Anka opowiedziała, co jej powiedział G. (zbliżony do PPS): „właściwie należałoby i resztę Żydów wymordować, żeby nie zostali świadkowie naszych czynów. Tak rozumują Polacy. Nie to, że należy potępić tych, którzy pastwili się nad Żydami, wysysali z nich wszystko, co posiadali, a później wyrzucali na ulicę, gdzie żandarmi ich zabijali, lub jeszcze prościej od razu meldowali żandarmerii. Tak to nie, tylko usunąć i resztę Żydów – świadków i przyszłych mścicieli".

23 I

Siedzę w piwnicy, bo mam przebierać kartofle. Oczywiście, że to pozory, bo właściwie korzystam z każdej możliwości, żeby zejść do piwnicy, gdyż tu czuję się względnie spokojniejszy. Tym bardziej że stale kręcą się patrolki żandarmów. Dużo ich jest, gdyż idzie jeden żandarm z grupą 6–7 Łotyszów lub innych bandytów. Już nie raz zastanawiałem się nad tym, czemu to przypisać, że zawsze w historii, gdzie trzeba jakieś zbrodnie popełniać i mordować, to się korzysta z Łotyszy.

Oto teraz słyszę kolejkę na godz. 8-mą[47]. Z ulicy dolatuje szczekanie psa i kiedy niekiedy koza bije rogami we drzwi. Ciszej gdacze kura, która składa właśnie jajko. Ja zaś, gdy mi nogi marzną, to stoję około 200 razy na palcach lub spaceruję (ostrożnie, by hałasu nie robić), i w ten sposób rozgrzewam się.

Znowu nas rozpacz ogarnęła. Już wydawało się, że ocalenie takie bliskie, bo doszli szybko i łatwo prawie do Kowla, i przerwali ofensywę, rozpoczynając na północy, gdzie zdaje się, idzie dość ciężko. Stale z Helą obliczamy, kiedy należy się spodziewać ocalenia, dochodzimy do wniosku, że około lipca–sierpnia (bez pomocy Anglii). A tu dla nas każda chwila to sto lat piekła.

Dziś rano przeżyłem scenę szukania Mamy na Umschlagu.

Zawiadomienie przez córkę higienistki ze Stawek 9, pielęgniarki, że Mama jest od dwóch dni na Umschlagu i błaga, żeby mnie zawiadomić.

Wybieram się tam. Przyłącza się dr Finkelsztajn. Przejście przez wachy SS. Przyłączamy się do grupki sanitarnej z noszami na kołach. Wejść Pan może, ale wyjść… to niech Pan sobie sam radzi.

Wchodzimy. Piekło. Rozmowa z komend[antem] Umschlagu. Poszukiwania. Spotkania ze znajomymi. Poszukiwania. Pielęgniarka W[y]dz[iału] Zdr[owia] ocala mi życie. Wyjście bez Mamy. Kol[ega] Finkelsztajn znalazł Rodziców swoich i nie zdąży wyjść.

26 I

Wczoraj siedziałem w mieszkaniu, to oczywiście kręciły się patrolki. A jedna nawet poszła do jakiegoś domu przy ul. Prochowej. Wobec tego już dziś siedzę „na dole".

Była u nas wczoraj Anka. Wróciła z Józefowa, gdzie była przez tydzień u Franki. Przeżyły tam straszne chwile, które tylko zrozumieć może ktoś, kto znajduje się w naszej sytuacji. Była żandarm[eria] i szukała „bandytów". Rozstrzelali przy okazji kilka osób. Na szczęście do ich willi nie doszli. Frania tam żyje ciągle w strachu, aczkolwiek stosunek p. Dom. jest teraz jak najlepszy. Obawia się, żeby teściowa i inni Polacy, którzy wiedzą, że jest Żyd[ówką], nie wydały jej. Przy okazji Anka opowiedziała nam trochę „wesołych" własnych chwil. Płakała przy tym.

[47] Chodzi o wąskotorową Kolej Jabłonowską (zwanej również Karczewską), działającą w latach 1896–1961. Od 1942 do 1944 r. nosiła oficjalnie nazwę Warschauer Eisenbahnen Ost. Pociągi tej kolei kursowały od stacji Warszawa-Wisła (dawa nazwa: Warszawa-Most) do Karczewa, m.in. ul. Grochowską.

Oto wróciła do domu Jab. P[an] Jab. jak zwykle był pijany, więc wygadywał różne świństwa, no i w końcu zabrał się do „obmacywania". Anka powiedziała mu delikatnie, żeby broń Bóg nie czuł się dotknięty, że ona czuje wstręt do takich historii, że w jej sytuacji nie ma chęci, a zresztą on chyba wie, że aczkolwiek wszelakie upokorzenia znosi i że on może ją w każdej chwili zabić, wydając Niemcom, to jednak nie zalicza się ona do jego przyjaciół i na to nie może się zgodzić.

P[an] Jab., który zataczał się na schodach, wchodził na czworakach, ślina ściskała mu zęby, poczuł się tym dotknięty: jak to, Żydówka śmie mu odmówić takiej głupiej rzeczy i… Anka szuka sobie innego miejsca.

Druga sprawa: Pani Genia posądziła ją o kradzież 1000 zł, kiedy sprzątała u niej sypialnię (Anka, jak przychodzi do niej, to płaci jej 50 zł za noc przespaną i poza tym jest u niej służącą. Przed wojną to pani Genia była u Anki pomocnicą – poprawczarką u krawca). Zdaje się, że to trik, żeby pozbyć się Anki. Kiedy więcej już nie ma co u niej wyciągać. Wszystko, co miała z Franką, to dały Geni lub ona sobie resztę sama zabrała. Przy tym czujemy wdzięczność dla niej, bo się nami opiekowała. Gdy wczoraj dzwoniła do niej, to kazała Ance przyjść, bo trzeba p. Leszkowi (jej kochankowi) zacerować skarpetki. Oto fakty.

Zdaje się, że przerwali Niemcom na północy front, może teraz pójdą na naszej linii naprzód, bo już niemożliwie ciężko!

28 I

We wczorajszym „Voelk[ischer] Beob[achter]" na 1 stronie są zdjęcia, jak Anglicy w Indiach aresztują i katują Hindusów. Przy tym napisy: co to za barbarzyństwo mordować bezbronnych ludzi tylko dlatego, że mają brunatny kolor skóry. I to pisze „Voelk[ischer] Beob[achter]", organ oficjalny największych i najohydniejszych zbrodniarzy w historii. I powiedzieć, że jest sprawiedliwość na świecie.

Obecnie mój dzień wygląda tak: o godz. 4.30 budzę się, żeby czuwać do godz. 5.15, bo o tej porze wstaję, robię ogień, golę się i myję. Przygotowuję śniadanie dla An. (ani razu nie podziękował mi, bo to mój obowiązek usługiwać mu) i schodzę „na dół". Tu do godz. 7-mej nie ruszam się, żeby nie robić szmeru, bo by to obudziło mieszkańców. Następnie chodzę po 300 kroków i siadam czytać gazety i książkę. O 11-tej dostaję śniadanie i znowu spacery na przemian z czytaniem i obserwowaniem wróbelków i kur. Najcięższe w tym to, że nie mam z kim słowa zamienić (rozumiem teraz separatki w więzieniu), wyczekuję, aż się zrobi ciemno, żeby móc wrócić do mieszkania.

Tak to wygląda. Nawet ze sobą nie wolno mi mówić głośno, bo by mnie jeszcze usłyszeli. Polubiłem kozy, wróbelki, bo im mogę się pokazać bez obawy, że mnie wydadzą.

A tymczasem rozpacz nas ogarnia. Pan Bóg pomaga wyraźnie Niemcom.

W ogóle zimy nie ma, tylko stale deszcze. Wobec czego wojny prowadzić nie można. Wszystko przeciw nam.

* * *

15 września, 1944. Józefów, u Franki

Wolni. Trudno uwierzyć, ale Niemców nie ma. Sowieci zajęli już nawet część W-wy. Ale te ostatnie 7 tygodni to były już najgłębszym dnem piekła.

Zrozpaczeni z przerwy w ofensywie sowieckiej, wybawienie jest od nas o 2 km (Rembertów i Wawer), tak bliskie, a jednocześnie tak dalekie. Stała groźba śmierci ze strony latających pocisków, codzienne blokady SS-owców i Ukraińców, ciągłe groźby, że wpadną żołdacy Niemcy rabować, a co gorsze gwałcić kobiety, jak to w sąsiednich domach było.

Największym punktem kulminacyjnym piekła zaczął się od czasu, gdy zaczęły przychodzić wieści, że Niemcy wysiedlają. Zaczęło się od ulic na Pradze nad Wisłą. Pocieszaliśmy się, że chodzi tu tylko o oczyszczenie drogi, którą Niemcy mają się cofać. Tymczasem następnego dnia rano wstajemy i znajdujemy masy ulotek zrzuconych z samolotów w nocy, w których „mieszkańcy W-wy" wzywani są do opuszczenia miasta z białymi chusteczkami, dla oszczędzenia niby ludności skutków walk z powstańcami. Jest to ultimatum terminowe, oczywiście dla wszystkich uderzenie moralne straszne, no a dla nas, rozumie się, zapowiedź śmierci.

Jak wszyscy wyjdą z domów, dokąd my pójdziemy. Pocieszamy się więc, że przecież odnosi się to do mieszkańców W-wy, a nie Grochowa, a zresztą i tak mnie nic nie pozostaje, jak zostać w tym domu i czekać na śmierć. Żal mi Heli, która mogłaby się sama ratować. To słabe pocieszenie nie na wiele się przydało, bo już od następnego dnia rozpoczyna się wysiedlanie Grochowskiej, czyli już blisko nas i wcale nie nad Wisłą.

Oczywiście Polacy, którzy nam, Żydom, zarzucali, że idziemy jak barany, kiedy na jednego Żyda wypadał jeden żandarm, Polacy, jak tylko otrzymują rozkaz wyjścia, w popłochu wybiegają na ulice. Zupełnie zdemoralizowani strachem przed Niemcami, tysiące mężczyzn idzie otoczonych przez kilku Niemców.

Początkowo Niemcy liczyli się z oporem, to przyjeżdżali samochodami, z karabinami maszynowymi, ale po kilku dniach, gdy się przekonali o tchórzostwie Polaków, tylko małe grupki żandarmów 20–30 blokowało dzielnice, skąd wyganiali po kilka tysięcy osób. Niektórzy, nauczeni przez doświadczenie z Żydami, szykowali sobie schowki, ale jak tylko blokada zaczynała się, tchórzyli haniebnie i oddawali się Niemcom, nie mówiąc już o częstych wypadkach, gdy wzajemnie się wydawali.

Wszystko to sam obserwowałem podczas blokady na naszej ulicy. Ja, znając ich metody, codziennie rano wstawałem skoro świt i w oknie uważałem, czy aby nie obstawiają nas. Aż pewnego dnia widzę, że zajeżdża buda żand[armerii] i obstawiają Grochowską i Kobielską. Szybko zarządzam alarm. Hela i Andrzej na wpół ubrani wskakują do schowku, ja za nimi, i czekamy. Po krótkim czasie przychodzi policjant polski z SS-owcem, każą wszystkim się stawić na punkt zborny do 8-ej rano. Pani Hankowa oświadcza mu, że nie ma tu mężczyzn ani młodych kobiet. Ci odchodzą i zaraz potem trzech innych SS-owców wpada od strony ta-

rasu, przeszukuje mieszkanie dwóch, gdy jeden zostaje przy drzwiach i stoi nad naszymi głowami. Żeby wiedział, nad czyimi głowami stał.

My słyszymy wszystko, bo cisza zupełna. Wstrzymujemy oddechy. Na I piętrze, gdzie ciotka mieszkała, pytają się, gdzie są ci ludzie. Pani W. zdenerwowana odpowiada, że wyjechali do W-wy (chociaż ja uprzedzałem, żeby nie wspominała słowa W-wa) a oni… „ Ach so, Banditen in Warschau". Hankowa już prawie z płaczem tłumaczy im, że to starzy ludzie. W końcu odstąpili. Schodzą i zaglądają do piwnicy, ale że tam było ciemno, to wolą nie ryzykować, i oświadcza jeden: „finster"[48]. I odchodzą. Jesteśmy po blokadzie.

Dni płyną, codziennie nowa blokada. Już w niektórych miejscach byli po 2–3 razy. Już gdzieniegdzie biorą wszystkich. Rozpacz coraz większa. Zapasy się kończą. Zupełnie nas dobija obraz palącej się W-wy, który obserwuję wieczorem z dachu, i bez przerwy naloty Stukasów niem[ieckich], które już bez przerwy bombardują od świtu do nocy najcięższymi bombami. W chwilach przerwy artyleria ostrzeliwuje to nieszczęśliwe miasto. A przecież tam są najdroższi moi, Anka ze Stasiem i Ewa z Dziutkiem.

A na froncie zupełnie cicho.

17 września u Franki

Co za podły, barbarzyński, krwiożerczy naród – ci Polacy. Nawet z tą garstką nieszczęśliwych niedobitków co oni robią. Wszędzie, na każdym kroku, teraz, gdy już nie mogą nas Niemcom wydawać na śmierć, to przynajmniej słowami nas ranią i męczą. Często nawet teraz, gdyśmy po takich cierpieniach ocaleli, strzelają do nas z poza muru. Oto jest naród polski. Nawet organ oficjalny PKWN „Rzeczpospolita" pisze dnia 13 IX 44 r.:

„Dość mamy hańbiących imię Polski bandyckich napadów na bezbronnych Żydów, którzy po pięciu latach ocaleli z piekła hitlerowskiego"[49].

Wybraliśmy się wczoraj do Grochowa, ale nie doszliśmy nawet do Wawra, bo szosa była pod obstrzałem. Wróciłem zupełnie moralnie załamany. Po drodze przyglądali się mi jak dzikiemu zwierzowi, nawet jeden elegancko ubrany pan powiedział oburzony: „Już Żydzi wyleźli". Można było wyraźnie wyczuć, że mocno żałuje, że nie może Niemca zawołać, by uprzątnąć tego Żyda.

---

[48] Finster (niem.) – ciemno.

[49] W artykule redakcyjnym, zatytułowanym *Dość tego*, można przeczytać: „Chodzą na wolności po polskiej ziemi zbiry i mordercy, którzy zabili w Warszawie pod okupantem niewinnych ludzi, którzy obecnie strzelają zza węgła, mordując żołnierzy i oficerów polskich, działaczy ludowych, którzy układają listy proskrypcyjne i pragną metodami sutenera Horst[a] Wes[s]ela na swój ład budować życie polskie. […] Dość mamy hańbiących imię Polski bandyckich napadów na bezbronnych żydów, którzy po pięciu latach ocaleli z piekła hitlerowskiego. Dość mamy prowokatorskich intryg, plotek, gestapowskiej propagandy. Krew zamęczonych na Majdanku i [w] Treblince, rozstrzelanych i powieszonych przez gestapo, krew żołnierzy polskich, która leje się na ulicach Pragi, na przedpolach i murach Warszawy, woła: Dość tego!" (organ PKWN „Rzeczpospolita", 13 IX 1944, nr 42, s. 1).

Nie tylko ja, ale Hela i Franka odczuły to boleśnie. Poza tym wstydzą się z nami pokazywać się na ulicy i znowu muszę siedzieć ukryty w mieszkaniu, by nie skompromitować naszych gospodarzy. Straszne, straszne.

* * *

Na 5 dni przed oswobodzeniem nas, gdy wszystko odbywało się normalnie: blokada, obawa przed wysiedleniem, stałe wystawanie w oknie i wyglądanie, czy czasami nie wpadają do nas Niemcy itp., położyliśmy się spać jak zwykle w piwnicy, by rano w wypadku móc zdążyć do schowka, nagle, jak tylko dobrze ciemno się zrobiło, słyszymy warkot samolotów i po charakterystycznym rru, rru poznajemy sowieckie, i już zaczyna się piekło. Artyleria przeciwlotnicza niemiecka z jednej strony (stała bardzo blisko nas i huk masowo padających bomb). Szczególnie straszny jest warkot przelatujących nad dachem dość nisko samolotów, gdyż związane są z tym uderzenia bomb w okolicy naszego domu i… oczekiwanie śmierci.

A to odbywało się bez przerwy od 2-giej do 3-ciej nad ranem, gdyż ta eskadra stale obrzucała bombami nasz odcinek frontu pod Rembertowem o 2 km od nas, no i przy okazji zaplecze, do którego należał również nasz dom. Szczęśliwie dobrnęliśmy do godz. 3-ciej, kiedy się wszystko uspokoiło, Hela z Hankową i Andrzejem położyli się spać, a ja już bałem się zasnąć, chociaż całkowicie wyczerpany, gdyż zbliżała się godz. 5-ta, kiedy wstawałem oczekiwać oddziały SS blokujących.

Faktycznie rano przybyli i na szczęście obstawili Grochowską, ale z drugiej strony. Jednocześnie zwróciło moją uwagę, że Grochowską w kierunku Wawer idzie piechota niem[iecka], której dotychczas nie było widać. Wywnioskowałem, że prawdopodobnie wkrótce się zacznie.

Około godz. 9-tej rano zaczął się huraganowy ogień artylerii sowieckiej, trudny do opisania, był to jeden ciągły jęk, przypominający poruszający się magiel lub walec. Obserwowałem ludzi na ulicy. Gratulowali sobie, że ofensywa się zaczęła i że niedługo pozbędą się Niemców. I to właśnie najwięcej krzyczeli ci, którzy przed 2-ma tygodniami wygadywali na sowiety największe ohydy, wydawali komunistów na stracenie itp.

Jednak ofensywa zaczęła się, bo już po dwóch godzinach wszystko się uspokoiło i cisza zaległa, przerywana hukiem spadających granatów i bomb lotniczych na W-wę. W nocy, jak poprzedniego dnia, to samo piekło zaczęło się i my, przykucnięci w piwnicy, oczekiwaliśmy śmierci, ale już bombardowanie trwało od 9-tej do brzasku, i jak tylko samoloty odleciały, rozpoczęła działalność artyleria ciężka sow[iecka]. Byliśmy już tak psychicznie zmaltretowani tą nocą, że uradowaliśmy się, jak usłyszeliśmy pociski artyleryjskie, bo między nimi były niekiedy przerwy, kiedy można było swobodniej odetchnąć, a Hela nawet wychodziła po wodę na sąsiednią ulicę. Pod wieczór ogień stał się tak straszny, że już mowy nie było o chwili odpoczynku. W nocy znów samoloty na przemian z artylerią, a nawet jednocześnie, i tak już bez przerwy.

Jeżeli chodzi o nas, to byliśmy już zupełnie ogłuszeni i przytępieni, bo padające wokoło bomby i pociski i stały zwierzęcy strach przed śmiercią wszystko w nas przydusił, już nie jedliśmy, nie piliśmy. Jeszcze żeby zachować swoją czystość konieczną ze względu na wpadających co chwila Niemców, myłem się na górze cały w zimnej wodzie i goliłem się. Ale już ostatniego dnia, gdy wyszedłem na parter, żeby rozejrzeć się w sytuacji, nagle wpadł pocisk i tylko dzięki jakiemuś cudowi ocalałem, zrezygnowałem już z golenia się. Ostatniej nocy, gdy w chwili spokoju kładliśmy się na ławkach spać, słyszymy wpadającą bandę Niemców. My, to zn[aczy] Andrzej i ja, w popłochu schwyciwszy nasze ubrania, wskakujemy do schowka „pod węglem". Hela, bojąca się straszliwie tych zbirów niem[ieckich], tym bardziej że ostatnio wpadli do schronów i gwałcili młode kobiety, rwała się do nas, żeby się z nami schować, ale p. Hankowa, oszalała ze strachu, nie chciała sama zostać i ją przytrzymała.

Zdążyły obie obandażować – Hela głowę, jako chora, a Hankowa nogę – gdy wtem ktoś stuka do drzwi piwnicznych, wołając: my Polskie – Niemcy. Na zapytanie, czego oni chcą, odpowiedzieli, że jest ich 10-ciu i chcą przenocować. Powiedziała im Hankowa, żeby poszli na górę, gdzie są łóżka. Ci dwaj jednak nalegali, że chcą w piwnicy z kobietami. Ale gdy im nie otworzono, po chwilowej naradzie między sobą poszli na górę.

Później dowiedzieliśmy się, dzięki czemu tak szczęśliwie się zakończyło. Okazało się, że była to grupa SS-owców, którzy przybyli tu z wozami zrabowanych rzeczy (ubrania męskie, dywany, a szczególnie rzeczy damskie itp.) i złożyli te rzeczy w sąsiednim domu, tam zostawili jednego na warcie i z nim siedział kolega Andrzeja Kazik, i on nam to wszystko opowiedział. Czekali tam na przybycie samochodów, żeby dalej wywieźć. Reszta SS poszła spać do naszego domu, ale wobec tego, że stale zaglądali do tych skarbów, to nie chcieli sobie zawracać głowy kobietami, tym bardziej że jeden drugiemu chyba nie ufał.

Kazik opowiadał, jakie tam skarby były. Jeden z SS wyciągał z wszystkich kieszeni na stół garściami złoto, brylanty, zegarki, perły itp. i powiedział żartem do drugiego SS, że brak mu 10 marek do miliona. Jednocześnie zrzucali mundury SS i wkładali zwykłe Wehrmachtu i tłumaczyli, że teraz nikt ich nie pozna i za te pieniądze kupią sobie dom w Berlinie.

I tak w strachu, przysłuchując się butom hitlerowskim stąpającymi nad naszymi głowami, doczekaliśmy do rana, i to nas uderzyło, że ta noc była niezwykle spokojna, ani samolotów, ani artyleria nie strzelała. Nad ranem Niemcy wyszli i myśmy mogli rozprostować nasze nogi. O godz. 8-ej rano dnia 13 IX, nagle, jak grzmot z jasnego nieba, wybucha tak piekielny ogień, że pojęcie może tylko mieć ten, który sam to przeżył. Masy samolotów w ciągłym nurkowaniu zrzucały niezliczone bomby przy jednoczesnym huraganowym ogniu ciężkich, polowych i katiusz dział, i to wszystko nad naszymi głowami i w nasze mury.

Wobec tego, że bez przerwy samoloty atakują, wpadają co chwila Niemcy do schronu, ale już zrozpaczeni, całkowicie zdemoralizowani, w strzępach. Czekają na chwilę spokoju i znów uciekają od nas do innego schronu, dalej w tyle.

My, tzn. Andrzej i ja, leżeliśmy znów w schronie „pod węglem" i przysłuchiwaliśmy się rozrywającym się pociskom. Co chwila cały dom chwiał się w fundamentach, obsypywał się na nas tynk, ogłuszające trzaski uderzających pocisków w nasze mury dopełniały grozę tych chwil. I znowu powtórzyło się to, co już wielokrotnie zauważyłem, że w chwili oczekiwania na śmierć człowiek o niczym nie myśli, tylko odczuwa taką pustkę w głowie, a najwyżej coś tam w głowie huczy: będę zaraz umierał. Strachu już wtedy nie odczuwa się.

Jest tylko jakoś dziwnie nieprzyjemnie, ale jednocześnie pusto.

W pewnej chwili wpada do nas dwóch Niemców, jak mi później żona opowiedziała, był to obraz skrajnego nieszczęścia: brudni, obrośnięci, mundury w strzępach, kulejący. Schronili się przed lotnikami i uciekali z rozbitego frontu, byli tak nieszczęśliwi, że Hela, której tacy Niemcy całą rodzinę skatowali, wzbudzili w niej litość i dała im swoją porcję mleka (sama będąc bez jedzenia od dwóch dni).

Jeden łapczywie wypił, a drugi powiedział po francusku, bo udawała, że nie rozumie po niemiecku: „j'ai mal"[50], i wskazał na brzuch i wytłumaczył, że jest mu tak źle, że nic do ust nie może wziąć.

Następnie powiedzieli: „Schrecklicher Krieg"[51], a wychodząc, gdy samoloty uciszyły się, dodał im na pocieszenie „Heute Ende"[52].

Jeszcze nie chciałem wierzyć, że naprawdę tak blisko jest ocalenie. Nastąpiło kilka chwil ciszy, gdy artyleria przestała strzelać, a usłyszeliśmy dla nas najpiękniejszą muzykę, na co tyle czasu czekaliśmy: odgłosy strzałów z działek przeciwpancernych i armatek czołgowych.

Zrozumieliśmy, że toczy się już tuż obok nas bitwa czołgów. Hela z p. Hankową według naszego polecenia rzuciły się na ziemię, a my w schowku przyłożyliśmy uszy do murów, żeby lepiej odróżnić odgłosy. W pewnej chwili słyszymy warkot motorów i wstrząs ziemi na skutek posuwających się czołgów.

Zbliżała się decydująca chwila. Jedzie pierwszy czołg, drugi, po chwili trzeci, czwarty, piąty i szósty i siódmy i stoją… wokoło naszego domu, bo myśmy mieli położenie dogodne dla ukrycia się czołgów: dom dwupiętrowy na polu, z prawej i lewej strony wolna przestrzeń na szerokość 30 metr[ów].

Zadrżały w nas serca, bo byliśmy pewni, że czołgi niem[ieckie] przygotowują się do walki przy naszym domu. Ale tylko przez kilka chwil byliśmy w rozpaczy, bo po oddaniu kilku strzałów artyleryjskich i z karabinów maszynowych czołgi pojechały dalej, bo widocznie sowieci już mocno napierali. I znowu cisza… gdy wtem nad nami słyszymy tupot chodzącego człowieka i słychać, jak otwiera szafy, drzwi, a następnie wszystko się ucisza, że słychać tylko bicie naszych serc w schowku. Po krótkiej chwili znowu się rozpoczyna silny ogień artyl[erii] i karab[inów] maszynowych i słychać turkot podjeżdżającego czołgu i tym razem…

[50] J'ai mal (fr.) – jestem chory.

[51] Schrecklicher Krieg (niem.) – przeklęta wojna.

[52] Heute Ende (niem.) – dzisiaj [będzie] koniec.

sowieckiego. Jednocześnie przez ściany nas znowu dochodzą niewyraźne, a później zupełnie głośne wesołe, pełne radości i życia: hurra, hurra, hurra i… tupot nóg wpadających na parter do naszego mieszkania sowieckich żołnierzy.

Ze śmiechem i z „job twoja mać" wołają: „wyleźć, germańce", przeszukują szafy i znajdują… w szafie, gdzie myśmy się stale chowali… Niemca, który ich błaga, żeby go wziąć do niewoli.

Następnie krasnoarmiejcy schodzą do nas, do piwnicy, i po raz pierwszy, na wpół przytomny, wychodzę z ukrycia i jako człowiek witam się z nimi i mogę spojrzeć na człowieka i przejść przez podwórze, nie obawiając się ani Niemców, ani tego, że mnie Polak zobaczy i wyda. Nie mieliśmy z żoną nawet sił się radować, ale ci krasonarm[iejcy] tak sympatycznie z nami rozmawiali i tak ściskali nam ręce, że od razu poczuliśmy się ludźmi. Gdy się dowiedzieli, że jesteśmy Żydami, to każdy z nich jakby na komendę oczy rozszerzył ze zdziwienia i pytali się z przejęciem: w jaki sposób się uchowaliście.

Dziś, gdy już pięć dni upłynęło od chwili oswobodzenia od Niemców, jeszcze nie mogę sobie uświadomić, że naprawdę ocaleliśmy. Zresztą to uczucie jest gwałtownie stłumione przez zbrodniczy stosunek Polaków do nas, na każdym kroku dają odczuć, że mocno rozpaczają, że chociaż jeden Żyd ocalał i że nie można tej drobnej resztki wymordować.

Zresztą niezupełnie, gdyż w dalszym ciągu mordują Żydów, strzelając do nas, i dlatego siedzę przez cały dzień w mieszkaniu, bojąc się pokazać, że jest w tej willi Żyd. Zresztą robię to na naleganie Franki i Heli, że gdy słońce tak ładnie świeci, ja siedzę w stęchłym powietrzu pokoju. Jeszcze nie wolno mi oddychać „polskim" powietrzem. Hańba.

* * *

19 IX [19]44 w Józefowie

Hela dziś rano wybrała się do Grochowa, by sprowadzić Hankową z Andrzejem i przynieść trochę bielizny do przebrania się, gdyż Grochów i Praga znajdują się stale pod obstrzałem ciężkiej artylerii niem[ieckiej]. Walki w samej W-wie ustały, gdyż, jak ja przypuszczam, czerwona armia stara się teraz od północy spaść Niemcom na tyły. Oczywiście to jest wykorzystywane przez faszystów polskich ONR, ND, OZON-y itp., i na każdym kroku słychać: bolszewicy zdradzili, że nie biorą W-wy. My tylko pytamy się ich: co właściwie sowieci wam przyrzekli, że uważacie, że zdradzili – przecież powstanie w W-wie zaczęliście bez porozumienia się z nimi, a wprost przeciwnie, jak wszyscy twierdziliście (oficjalne czynniki AK i innych partii), że wbrew woli sowietów, bo nie potrzebujecie ich, i nawet jak głoszono, po zajęciu W-wy i wypędzeniu Niemców uderzymy przy pomocy broni zdobytej na hitlerowcach na Sowiety.

A teraz macie pretensje, że nie giną dla was. Naprawdę bolszewicy są chyba aniołami, jeżeli jeszcze tym Polakom odpowiadają spokojnie, uspokajając, że zdobędą W-wę wkrótce i wszystko będzie dobrze. Niektórzy, już wyprowadzeni

z równowagi, mówili: przecież W-wa to wasza stolica, utworzyliśmy Polską Armię, uzbrojoną doskonale, i gdy wzywamy was, byście wstępowali do niej, żeby wywalczyć sobie W-wę, większość dekuje się i każe nam za was walczyć.

Tak jest – wszyscy młodzi ludzie robią największe świństwa, „nawet Żydzi takich nie umieli robić", zmieniają daty urodzenia, fałszywe papiery, udają chorych, byle żeby nie wstąpić do armii, bo akurat jest czas na paskowanie i lichwę, można dużo forsy zarobić.

Przecież bolszewicy dobrze wiedzą o tym, że kilka tygodni temu równie z Żydami wydawano komunistów i desantów powietrznych Niemcom, a przed wojną to być komunistą – to najmniej 6 lat ciężkiego więzienia, a w Galicji często śmierć.

A teraz to wy, komuniści, umierajcie za nas, a my będziemy paskowali i zwyczajnie was okiwamy, jak nadejdzie czas.

Oto jeszcze „polski" kwiatek. Cytuję „Gazetę Lubelską" z dnia 17 września 1944: „Witają ich (Żydów) okrzyki: Po co to wpuszczać do miasta? Powystrzelać ich! Jeszcze żyją!"[53] Itd., itd. Oto Polacy.

* * *

24 IX [19]44

Wczoraj wybraliśmy się we czwórkę z Franką i p. Zygm. do Otwocka po zakupy. Na bazarze, gdy one zakupywały, do mnie podeszło kilku żołnierzy. Okazało się, że są oni z dyw[izji] Kościuszki. Tylko oni mogli zrozumieć nasz los i odczuć

[53] W rubryce „Głosy czytelników" w tekście podpisanym „Czytelniczka", a zatytułowanym *Kwestja która już nie istnieje?* czytamy: „Jest nią kwestja żydowska. Z narodu żydowskiego zostały nędzne niedobitki, drzazgi ze zrąbanego drzewa.

Ukryci w lasach, norach, piwnicach, miotani strachem i rozpaczą, oczekiwali chwili wyzwolenia, jak ich przodkowie ongiś legendarnego Mesjasza. Upragniony dzień nadszedł. Lublin został wyzwolony.

Od pierwszych dni zaczęli przybywać Żydzi. Wynędzniali, obdarci, z mizernymi tobołkami i nieśmiałym spojrzeniem stawiali pierwsze kroki na bruku miejskim. Tu spodziewają się znaleźć oparcie i możność odbudowy swych złamanych egzystencyj. I co się dzieje? Witają ich nieraz okrzyki: «Poco to wpuszczać do miasta? Powystrzelać ich! Jeszcze żyją!» itd., itd. W najlepszym wypadku otrzymują pogardliwe spojrzenie lub szyderczy uśmiech.

To jest karygodny brak zwykłego uczucia ludzkiej litości. Proszę pomyśleć! Ludzie ci przeszli wszystkie stopnie piekła w ciągu pięciu lat rządów zbirów niemieckich. Pogardzani, poniżani, szczuci, paleni, mordowani, znaczyli drogę swego życia łzami i krwią.

Wszak i nas bestia hitlerowska nie oszczędzała. I nasi mężowie, synowie, bracia, ginęli po więzieniach i obozach. I myśmy znali, co to «łapanki», wyrzucanie z mieszkań w ciągu ½ godziny, areszty nocne itd., itd.

Dlaczego więc taki brak współczucia? Czyżby jad barbarzyńskiej rasy germańskiej tak bardzo zatruł naszą krew? Słabym należy współczuć, a nie nienawidzieć. Bić bezbronnych umieli Niemcy, my ich w tym naśladować nie powinniśmy. Naszym zadaniem jest okazać, że niewola nas nie upodliła, ale cierpienie uszlachetniło" („Gazeta Lubelska. Niezależny organ demokratyczny", 16 IX 1944, nr 41, s. 3.

go. Poradzili nam pójść z nimi do szpitala, gdzie będę mógł się porozumieć z lekarzami – Żydami. Spotkałem tam kap[itana] Eisena i por. Blama z W-wy.

Ciekawe, że gdy usłyszeli pokrótce naszą historię, to powiedzieli, że chociaż Żydzi, to sami nie wierzyli, że coś podobnego mogło się zdarzyć. Uważali, że propaganda może przesadza, ale gdy przyjechali do Polski i nie znaleźli nikogo ze swoich, to zrozumieli i czują… Jeden z żołnierzy powiedział, że od czasu, gdy wstąpił na ziemię polską, to cierpi i rozpacza, bo stale mu się zdaje, że stąpa po grobach swojej rodziny, swoich braci.

Niewiele się pomylił, bo akurat Otwock i ta linia[54] tym się odznaczają, że Żydzi, znając ją dobrze i stale tu mieszkając, myśleli, że będą mogli tu się ukryć u „przyjaciół" Polaków. I tu też największa tragedia, bo nie było dnia, żeby nas nie wydawali ci „przyjaciele", i gdzie zastawała żandarmeria Żydów, tam ich zabijała, uprzednio bijąc do nieprzytomności, a Polacy, zresztą, jak Polak nam opowiedział, już z tyłu szli za żandarmami z łopatami, żeby zakopać i zrównać z ziemią grób, ale oczywiście obrabowując zwłoki z butów, ubrania itp.

Szczególnie zbrodniczą rolę odgrywała tu, jak i wszędzie, polska policja. Głównie chodziło im o obłowienie się, więc znając ludność tutejszą, wchodziła z nimi w spółkę co do obrabowanych rzeczy, a gdy przychodzili i do ukrytych Żydów, ci w ostatniej rozpaczy i chcąc ratować życie, dawali im wszystko, co mieli, a później, gdy już wszystko wyciągnęli z nich, stale im grożąc, że dzwonią do żandarmerii, i gdy przekonali się, że już nic z tych ofiar nie można wydobyć, oświadczali, że „ideowo" uważają, że należy Żydów wytępić, i sprowadzili lub sami prowadzili do żandarmów.

Wypadki takie były na porządku dziennym. Zresztą w samym społeczeństwie polskim wiadomo było, że wszyscy policjanci na trupach żydowskich szalenie się wzbogacili.

Byliśmy przyjmowani przez żołnierzy nadzwyczaj gościnnie, nawet nas poczęstowali obiadem. Jednym słowem czułem się przez kilka godzin w atmosferze, której mi brak było przez 2 lata, w atmosferze ludzi, którzy mnie rozumieją i czują i cierpią tak samo jak my. Było nam wprawdzie smutno, tak jak tylko dziś Żydzi mogą być smutni, ale czułem się dobrze. Wracając, przeczytaliśmy artykuł w „Rzeczp[ospolitej]"[55], w którym polemizują z częścią

[54] Chodzi o linię otwocką, potoczną nazwę trasy kolejowej Warszawa–Otwock i miejscowości przy niej położonych.

[55] Józef Tergonde w artykule *Opiekunowie morderców* pisał o armiach alianckich wkraczających na teren Niemiec: „16 września br. prasa angielska zamieszcza fotografię […] przyjaznego bratania się żołnierzy amerykańskich z ludnością niemiecką. Nawet flegmatyczny londyńczyk wyszedł z siebie. Redakcja zasypana została listami i telefonami wyrażającymi oburzenie czytelników. Zażądano wydania żołnierzom oficjalnego zakazu utrzymywania jakichkolwiek stosunków z Niemcami. […] Londyński korespondent nowojorskiej gazety «PM» donosi o działalności Komisji Sprzymierzonych dla zbadania zbrodni wojennych. Komisja, ulegając wpływowi delegatów angielskich i norweskich, zajmuje się teoretycznoprawnymi sporami i wstrzymuje się od zbadania konkretnych faktów. Szereg członków Komisji celowo

prasy angielskiej, która jest zachwycona zbrataniem się wojsk ang[ielskich] z Niemcami.

Komisja ang[ielsko]-norweska, która bada zbrodnie niem[ieckie], miała podobno oświadczyć, że naród niem[iecki] nie odpowiada za zbrodnie dokonane przez Hitlera. Jest to tak bezczelne, że trudno na to odpowiedzieć. Zresztą po Anglikach można się było tego domyślić, nic od Niemców nie ucierpieli, że tam wymordowano i torturowano 7 milionów Żydów, kilka milionów Rosjan, Polaków i innych, to ich niewiele obchodzi, byle żeby własne interesy polityczne i ekonomiczne nie ucierpiały.

Czy cały naród niem[iecki] jest winien?

Zdaje się, że na to każdy może odpowiedzieć, który był pod zaborem niem[ieckim]. Każdy widział kobiety niem[ieckie], jak biły po twarzy nie tylko Żydów, ale i Polaków, dzieci plujące na ludzi. A co do Żydów, jak to w getcie przyjeżdżali Niemcy, bynajmniej nie hitlerowcy, i bili, katowali przechodzących Żydów, jak to dwóch Niemców (nie partyjnych) zastrzeliło 6 chłopaków żyd[owskich], bo przeszli poza obrąb muru. Mało, że zastrzelili, ale jeszcze pastwili się nad śmiertelnie rannym, który nie od razu umarł. Sam to widziałem z naszych okien na Szczęśliwej.

22 X [19]44 Lublin. Szpital Bobolanum[56]

Już od dwóch dni leżę w wojskowym szpitalu ranny w prawą stopę. Od 7 X jestem zmobilizowany i przed tygodniem wziąłem urlop od naszego dowódcy majora – lekarza G., i udałem się z Helą odwiedzić Hankową na Grochowie i odszukać Mietka[57].

Podróż zapowiadała się nadzwyczajnie, czułem się świetnie: w mundurze już nie ośmielali się co krok wytykać – Żyd itp. Jechałem samochodem przy cudownej pogodzie słonecznej. Oddychałem pełną piersią, rozkoszowałem się wolnością i ruchem. Tak dojechaliśmy z Ciemiernik do Lublina. Tu zostawiliśmy w mieszkaniu u Franki rzeczy i wybraliśmy się dalej w drogę do Mietka w kierunku na Krasnystaw, gdzie on miał stacjonować.

---

opóźnia jej działanie tak, iż po jedenastu miesiącach Komisja sporządziła listę przestępców obejmującą aż… 350 nazwisk, podczas gdy opinia publiczna liczy ich na setki tysięcy. Mało tego, «eksperci» obstają przy tym, że Hitler, jako głowa państwa, Himmler, Goering, Goebbels i inni jako członkowie rządu, wreszcie gestapo jako «policja państwowa» […] nie mogą figurować na liście. Arcyzbrodniarze nieomal wytłumaczeni. […] Szereg wpływowych członków Komisji podziela pogląd, że państwo niemieckie jako takie nie może być uważane za organizatora masowych przestępstw, można jedynie mówić o naruszeniu przez Niemcy «zwyczajów prowadzenia wojny», abstrahując od samej odpowiedzialności za jej wywołanie" („Rzeczpospolita", 23 IX 1944, nr 51, s. 3).

[56] Oficjalnie: 2 Polowy Szpital Chirurgiczny, urządzony w budynku Collegium Bobolanum w Al. Racławickich, obecnie 1 Szpital Wojskowy w Lublinie.

[57] Mieczysław (Abraham Moshe) Einhorn (1914–1969), brat autora, prawnik; od 1948 r. w Izraelu.

I ta droga była wyśmienita – szosa wspaniała, żołnierz pomógł nam wsiąść i opiekował się nami – oficerem i żoną (co drugie słowo: p. kapitanie), ale niestety przez miejscem postoju Mietka dowiedzieliśmy się, że jego sztab wczoraj wyjechał. Więc nie namyślając się długo, tego samego dnia wsiedliśmy od nowa w auto i wróciliśmy do Lublina.

Następnego dnia wyjechaliśmy do Grochowa z planem, że po załatwieniu u Hankowej wyjdzie na nowe miejsce postoju Mietka. Los chciał, że auto załadowano sianem, na którym jechaliśmy też z pewnym niebezpieczeństwem, bo zawadzaliśmy o druty telef[oniczne] poprzeczne, nie dojechało do Grochowa, tylko zatrzymało się przed Wawrem i musieliśmy wsiąść na nową maszynę, i tu zdarzył się ten wypadek: nasza maszyna wyminęła auto wiozące krowy. Szofer krowiego auta, wyraźnie pijany, czuł się tym dotknięty i dał gazu, i zaczął nas wyprzedzać, i zajechał na nas z boku, moja noga znalazła się między deskami obu maszyn pędzących z szybkością każda 60 km [na] godz. Poczułem straszny ból i gdy auta rozłączyły się, spojrzałem na nogę – but zgnieciony i straszliwy ból przekonały mnie, że noga zmiażdżona.

Hela rozpaczała, widząc mnie bladego i na wpół przytomnego. Warto zaznaczyć, jak się odnieśli sowieci. Jeden siedzący przy mnie objął mnie, położył moją głowę sobie na piersiach i zaczął mnie całować i pocieszać, że nic mi nie będzie, że jestem ich człowiek, że należę do rodziny, i prosił Helę, żeby się uspokoiła.

W tym całym nieszczęściu ten ludzki odruch nieznanego mi wojskowego tak mnie wzruszył, że naprawdę ból stał się mniejszy. Inni oficerowie sow[ieccy] chcieli się rzucić na szofera za to, że nie uważał. I tak odstawiono mnie do szpitala w Instyt[ucie] Weter[ynarii] na Grochowie[58]. Rozcięto spodnie i zdjęto but i przekonałem się, że jeszcze mam szczęście, bo obcas od buta uchronił nogę od zmiażdżenia.

Następnego dnia po opatrunku Hela załadowała mnie na dorożkę i wywiozła do P.K., gdzie wsiedliśmy na auto i po przerwie w Garwolinie dojechaliśmy do Lublina.

Teraz leżę w salce oficerskiej z jednym 21-letnim chłopakiem – majorem – powstańcem W-wy, który po kapitulacji Bora przepłynął wpław Wisłę i przedostał się do wojska. Drugi mój sąsiad, to ppor., który z konia zleciał. Niezwykle gorący zwolennik ustroju sow[ieckiego].

25 X Lublin, Bobolanum

Wróciła Heluś z Franką z Radzynia od Mietka. Wrażenie, jakie odniosła ze spotkania z nim, było nadzwyczajne. Zmienił się nadzwyczajnie – „schamiał", jak się wyraziła, zewnętrznie i psychicznie. A co najbardziej mnie zmartwiło, to to, że pije wódkę i podobno tylko o tym myśli i mówi. Zobaczymy, czy i ja także takie

[58] We wrześniu 1944 r. do budynków Instytutu Weterynarii przy ul. Grochowskiej 272 przeniesiono część oddziałów Szpitala Praskiego pw. Przemienienia Pańskiego.

wrażenie odniosę przy spotkaniu. W każdym bądź razie szczęśliwy jestem, że odnalazłem brata.

Nałożono mi dziś gips.

31 X – mieszkanie Franki – Lublin

Dziś opuściłem szpital. Przyjechała po mnie Hela. Już nie mogłem uleżeć w szpitalu. Ciągły niepokój nie daje mi spokoju. Stale mi się wydaje, że gdzie indziej jest lepiej. W szpitalu miałem nieprzyjemność od Waksmana[59], który uchodzi za Aryjczyka i stroni od tych, co go przedtem znali. Co do mnie, to wiele razy przechodził obok mnie i udawał, że mnie nie zna. Poza tym, żeby uzasadnić we własnym sumieniu i przed innymi takie chamskie postępowanie, to gadał, że mnie nie znosi, że jestem antypat[yczny], szczególnie przed dr. Warmanem, bo wiedział, że jestem od niego zależny. Miejmy cierpliwość, może uda mi się zapłacić mu za to.

4 XI Ciemierniki

Od przedwczoraj jestem już u siebie na kwaterze. Czujemy się z Helą dobrze, bo u siebie, na własnych śmieciach. Wziąłem w magazynie suchy produkt, a Heluś gotuje i jest zadowolona, bo się czuje wreszcie żoną – gospodynią. Oczywiście i ja jestem b[ardzo] zadowolony. Stale omawiamy plany, to przyjęcia Mietka, to przyjęcia u nas majorostwa.

W wieczór wyjazdu z Lublina Franka przyrządziła dla nas rybkę po żydowsku. Już dawno nie czuliśmy się tak dobrze jak owego wieczoru. Rano wyjechaliśmy średnim willysem. Nas wojskowych nie chciał brać, ale za to cywilnych jak najchętniej, bo liczył się z tym, że mu zapłacą. Stawał więc przed P.K. i kazał cywilom wysiadać, a po przejeździe P.K. brał ich. Na jednym regulowszczyk zauważył wsiadanie cywilów, autem dogonił nas i szofera zabrał ze sobą dla wylegitymowania.

Przy szoferze siedział jeden w wojskowym ubraniu, ale z cywilną czapką. Mówił, że jest wydelegowany dla przeprowadzenia Reformy Rolnej z ramienia PPR. I otóż to ten niby komunista wystąpił z antysemickim przemówieniem, że ten regulowszczyk to Żyd i dlatego zatrzymał szofera, i że na szczęście Niemcy wymordowali Żydów, to teraz wracają i odbierają swoje sklepy. I to go chyba najbardziej bolało, bo narabował się jak hiena po Żydach i teraz musi biedny oddać swój łup.

Chociaż Hela mnie po cichu uspokajała, nie mogłem już więcej wytrzymać i powiedziałem mu, że ja też jestem Żydem. Ten bogoojczyźniany bohater mocno się stropił i mówi, że w każdym narodzie jest pokrzywdzony proletariat i że ja też chyba z proletariatu żyd[owskiego] i mnie kocha, i podobne bzdury.

Właściwie należało go oddać w ręce sprawiedliwości, ale byłem ranny i ruszać się nie mogłem, i liczę, że wpadnie w inne ręce.

[59] Dr Bronisław Waksman, po wojnie Wiśniewski, lekarz chorób wewnętrznych.

Siedział przy mnie polski adwokat, który słusznie powiedział: „Takich to ludzi jako zaufanych wysyła wasza demokracja dla przeprowadzenia reformy rolnej. Nic też dziwnego, że w Polsce demokracja tak wygląda".

12 XI

Wczoraj obchodziliśmy święto „Niepodległości". Dla korpusu oficerskiego naszej jednostki urządzono specjalne przyjęcie. Wszyscy wystrojeni czekaliśmy w pałacu na dany znak, kiedy major wejdzie. I rozpocznie się uroczystość.

W poczekalni staliśmy, tzn. jeden lekarz – Polak z W-wy, którego znam z czasów, gdy w 1939–[19]40 byliśmy lekarzami, a on był okręgowym lek[arzem] sanit[arnym] V Ośr[odka] Zdrowia. Ten czas był również epopeją w męczarniach Żydów warszawskich. Był to okres, gdy panowały wszelkie możliwe choroby zakaźne, a przede wszystkim tyfus brzuszny i plamisty. Wobec tego, że w myśl zasad epidemiologii należy izolować chorych zakaźnych i ich otoczenie, wykorzystywały to sfery polskie lekarsko-dezynfekcyjne jako specjalny środek wymuszania, szantażowania i straszenia tym sposobem, by wyciągnąć jak najwięcej pieniędzy od Żydów.

Na prz[ykład] *primo* – niby w celach zapobiegawczych urządzano kąpiele całych domów, przy czym wybierano zazwyczaj nie najbrudniejsze domy, ale przede wszystkim najbardziej zaludnione i bogatsze, bo chodzi o to, że kto miał pieniądze, ten mógł się wykupić z kąpieli.

Secundo: przy dezynfekcji wchodzono do mieszkań zamożniejszych, nawet wyraźnie czystych, i wybierano najdroższe rzeczy, i uznawano, że te rzeczy należy dezynfek[ować], tzn. zniszczyć, spalić lub w najlepszym razie pognieść.

Oczywiście chodziło o wykupienie się, przy czym nie skąpiono wymysłów, bicia i szykanowania Żydów, bo przecież Polakom wolno Żydów bić dzięki Hitlerowi. *Tertio*: przypadkiem albo częściej do spółki z Żydem dowiedział się, że w danym mieszkaniu ktoś chorował na dur plamisty. Ten były chory może już chodzić po mieście, ale panowie z Ośrodka grozili, że zameldują, że jest dur, i wymuszali sumy u ludzi, którzy na ogół głodowali, oddawali ostatnie rezerwy po to, by uniknąć zamknięcia w izolacji (zwykłe więzienie).

Właściwie to już takim ludziom nic nie należało zrobić, bo już było po okresie zakaźności, ale Żydzi doskonale wiedzieli, że w stosunku do nich wszystko jest dopuszczalne, a Polacy wykorzystywali to na wszelkie sposoby.

Wracając do tego lekarza, to właśnie mówiliśmy o AK. Jedna z koleżanek Polek twierdziła, że AK i w ogóle Polacy „doskonale" się odnoszą do Żydów, na co ja gwałtownie zaprotestowałem i nawet oświadczyłem, że jestem oburzony na Żydów, którzy w Londynie popierają rząd emigracyjny, wiedząc, że AK w Polsce kontynuuje robotę Niemców w mordowaniu skrytobójczo Żydów.

Otóż ten lekarz poparł moje stanowisko, twierdząc, że on sam nie orientował się w stosunku AK do Żydów, i dodał: „muszę przyznać, że stosunek Polaków do Żydów był bestialski i prawdopodobnie nigdy na świecie nie będzie pochwalony. Nie przynosi nam to zaszczytu".

Byłem zdziwiony tymi słowami, ale od razu zrozumiałem, że musiał coś przeżyć, co go zrobiło tak wyrozumiałym dla czyichś cierpień. I faktycznie opowiedział nam historię następującą:

Przysięga, że mówi prawdę. Zresztą cała wieś może świadczyć, że tak było, ale użytku nie robi z tego, bo się boi, że zabiją jego i żonę będącą w ciąży. Otóż już po wkroczeniu sowietów, pod koniec sierpnia czy września, pewnej nocy o godz. 12-tej przyszło do jego chałupy (mieszkał w miasteczku koło Siedlec) 2 osobników z rewolwerem i wyprowadzili go na cmentarz w obecności całej wsi. Tam mieli go zastrzelić, jak oświadczyli, z rozkazu AK, dlatego tylko, że ksiądz katolicki zawiadomił AK, że jest on Żydem. Na szczęście jeden z tych dwóch był mniej pijany i ubłagał go, żeby się przekonał, że nie jest obrzezany. To go uratowało. Gdyby był Żydem, to by już nie żył.

W tej historii akurat sumują się czynniki, które niemałą rolę odegrały w naszej martyrologii: duchowieństwo polskie i organizacje polskie podległe rządowi emigr[acyjnemu] londyńskiemu.

Koniec pamiętnika

Słowa kluczowe
dziennik, Getto warszawskie, lekarze, ukrywanie się, strona aryjska, pomoc dla Żydów

Abstract
Written on the 'Aryan' side, Doctor Chaim Einhorn's diary contains recollections of the ghetto, particularly the deportation campaign period, and a few passages written during hiding in the Warsaw district of Praga – Doctor Einhorn and his wife were hiding with a few other Jews at teacher Romana Hanke's home.

Key words
diary, Warsaw ghetto, physicians, hiding, 'Aryan' side, help to Jews